



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należność do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Urywki z poematu: Zkąd Moja Pieśń (Wiersz). — Bal maskowy. — Korespondencja z Wiednia. — Widzenia. Fantazja Jana Turgeniewa. Pamiętnik Wacławy przez Elizę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłom. przez Paulinę Wilkońską. Przytym dodatek z drzeworytami.

Z teki ś. p. Jakóba Zakrzewskiego.

Urywki z poematu: ZKĄD MOJA PIEŚŃ?

MIŁOŚĆ DO POETY.

Jam cię wyniosła w kraj uroku,
Tam, gdzie dusza w duszę wrasta,
Gdzie świat cały w lubej oku,
Gdzie bez skazy jest niewiasta;
W kraj ów barwy, światła woni,
Gdzie gdy troska skroń owionie,
Wnet współczucie ją rozstłoni,
Na bijącym lubem łonie.
W kraj ów dziwnej czasu miary,
Gdzie raz wiekiem chwila płynie,
A raz dziwnie skryte, czary
Rok przesuną, jak w godzinie!
W kraj ów dziwnych tonów dźwięku,
Gdzie w miłczeniu tyle mowy,
Gdzie w wymowie tyle wdzięku,
A głos lubej zawsze nowy,
W kraj ów wiary, czci niezłomnej,
Gdziebyś serce w serce przelał,
Gdziebyś zguby twój niepomy,
Sny kochanki w życie wcielił!

Ty westchnąłeś — jamże winna,
Że jak wianek na ruczaju,
Zbiegła młodość twa niewinna
W moich pieścach jasnym raję?
Że w krainie blasku, barwy
Dzień twój szybkim ubiegł lotem,
Że dziś wspomnień tylko larwy,
Gdzie wprzód życie lśniło złotem?
Że w uroczych chwil dziedzinie,
Czas jak strumień płynie rączy,
Że gdy przemknął rok w godzinie
Dziś się doba wiekiem sączy?
Że w tym kraju słów bez głosu
Grę jej oka przestrzeń chłonie,

Że z uniesień swoich kłosu
Żdźbła nie złożysz na jej łonie?
Że w tym kraju złudzeń, wiary,
Tyś rozminął się z rachubą,
Że tu płonne twe zamiary,
Niedościgte nawet zgubą!...

POEZJA DO POETY.

Jam promienne moje lice,
Odsłoniła tobie całe,
Jam wskazała ci skarbnicę,
Gdzie stu-barwne wieczno-trwałe
Wieszczych natchnień tajemnice.

W twojem słowie mój to wdzięk,
W twojej pieśni mój to dźwięk;
Moim lotem myśli mkną.

Gdy wśród żalu serce rośnie,
Kiedy w zimnym życia trudzie
Myśl w niezwiędłej kwitnie wiosnie,
Nieskalana w ziemskim brudzie,
Chyba gorzką zmyte łą.

Wtedy moja płyniesz fala,
Wtedy mnie twe usta chwala,
Wtedy duch twój żyje mną!

Bal maskowy.

(Dokończenie.)

— To być nie może, Milordzie, zastanówcie się tylko, Anna Boleyn jest jego ślubną żoną. Przeniewierzył się kościołowi i zerwał małżeństwo z Katarzyną, aby Annę Boleyn uczynić swoją małżonką, miałaby się ośmielić po raz wtóry znieważyć sakrament? Milordzie, wasza zawiesz nie pozwala wam sądzić rzeczy zdrowo.

— Surreyu, opowiem wam ciekawe zdarzenie. Spieszyliście dzisiaj za piękną Anną. Nie pomyśleliście że to królowa Anglii i kobieta zamężna. Scena której byliście świadkiem oburzyła was i jako

szlachcie gotowicie przelać krew w obronie praw Anny Boleyn!

— Zgadujecie myśl moją milordzie. Nie wahałbym się wyznać otwarcie i zaprzysiądz co dzisiaj widziałem, gdyby Annę Boleyn miała spotkać jaka krzywda.

— Dobrze, właśnie dla tego opowiem wam pewen zdarzenie. Widziałem raz piękną, bladą niewiastę i serce moje drgnęło jak dzisiaj wasze. Ta niewiasta miała przy swoim boku damę honorową, którą obsypała dobrodziejstwami i raz zesłała niespodzianie swojego męża w chwili, gdy ową damę honorową trzymał na kolanach i okrywał pocałunkami. Ową bladą, chorowitą niewiastą była Katarzyna aragońska. Stać ją było tylko na łzy i prośby. I ona prosiła o oddalenie Anny Boleyn jak dzisiaj Anna Boleyn domagała się oddalenia Joanny Seymour, tak wówczas Anna Boleyn zaśmiała się szydersko, bo bezwstydnym król zerwał ślubną żonę w obecności służbnych. Katarzyna zniósła obelgę, ale jej łzy wołały o pomstę do niebios, godzina dzisiaj wybiła. Teraz powiedzcie mi czy Anna Boleyn zasługuje, aby szlachcie stanął w jej obronie?

— Jeżeli to prawda co mówicie milordzie, to niech Bóg ją sędzi a ja mileczeń będę. Ale gdzież to mię prowadzicie? zbłądziliśmy!

Lord puścił się ku wybrzeżom, a Surrey dopiero teraz postrzegł jak bardzo oddalili się od dzielnicy w której stały ich pałace.

— Nie zbłądziliśmy Surreyu, odparł Warwick, ale może nie macie czasu?

— I owszem, jestem na wasze usługi, lecz gdzież jest cel naszej wycieczki?

— Ten mały domek opodał w którego oknie naroznem widzicie światło.....

— Któż tam mieszka?

— Ale pozwólcie mi dokończyć opowiadania. Katarzyna aragońska była jak wiecie wdową po zmarłym bracie Henryka, chcąc się z nią ożenić, Henryk musiał prosić papieża o pozwolenie. Była o sześć lat starsza od niego, piękność jej gasła z każdym rokiem, lecz dopiero po osiemnastu latach pożycia Henryk ni ztąd ni z owąd oświadczył, iż z powodu ożenienia się z bliską krewną, doznaje wyrzutów sumienia. Było to w chwili gdy Anna Boleyn zażądała korony. Henryk prosił papieża aby rozwiązał węzeł małżeński, a gdy w Rzymie niespełniono tego żądania, wziął potajemnie ślub z Anną Boleyn. Księdzem który dał ślub, był ten sam dygnitarz który nas dzisiaj ugaszczal, Tomasz Cranmer. Żył wówczas w Londynie sławny prawnik nazwiskiem Tomasz Morus, jemu poruczył król przeprowadzenie z ko-

ściołem procesu rozwodowego, zrobił go nawet swoim kanclerzem, ale zacy ten mąż oświadczył, że małżeństwo króla z Anną Boleyn jest dwuznaczne. Henryk oddał go i powołał na jego miejsce Cranmera, samowolnie unieważnił swoje małżeństwo z Katarzyną, a gdy kościół rzucił na niego klątwę, oderwał się od niego i wydał ustawę mocą której sam siebie uczynił głową kościoła anglikańskiego. Parlament oświadczył się za królem a czem Henryk ośmielony, usiłował zmusić Tomasza Morusa aby mu wykonał przysięgę jako głowie kościoła. Anna Boleyn poprzysięgła Morusowi śmierć, potrafiło więc zadać mu takie pytania, że sumienie uczciwego człowieka nie pozwalało odpowiedzieć na nie tak, jak król tego żądał. Tego tylko chciał Henryk, na to tylko czekała Anna Boleyn. Oskarżono go o zbrodnię stanu i skazano na śmierć. Wyrok opiewał, że Tomasz Morus ma być w półkoszku przywleczony na plac egzekucji, tam powieszony, a przed skonanem zdjęty, kołem łamany, kleszczami targany, wnętrzności jego mają być spalone, ciało półciwrtowane, wywieszzone na bramach Londynu a głowa na moście. Widziałem jak wleczono do Toweru ostatniego obrońcę Katarzyny, jak się z nim córka jedyna żegnała, jak lud w uroczystym milczeniu zdejmował kapelusze gdy Morusa prowadzono.

— Na Boga milordzie, zawołał młodzieniec, pojmuję dla czego tak nienawidzicie Annę Boleyn.

Lord nie odpowiedział. Stanęli właśnie przed domkiem który nieco pierwój był wskazak. Warwick pociągnął za dzwonek. Nie otworzono zaraz, nareszcie w pół otwartych drzwiach ukazała się stara niewiasta.

— Ah! to wy milordzie, zawołała z radością poznawszy Warwicka, lady myślała już że dziś nie przyjdziecie i drżała czy was nie spotkało jakie nie-
szczęście.

— Gdzie jest lady?

— W czarnej komnacie milordzie. Od południa nie wychodziła ztamtąd. Byłabym otworzyła przedzie ale właśnie byłam na gorze i pukałam do drzwi. O dziesiątej, widząc że nieprzychodzą zamknęła się.

Podczas gdy stara mówiła lord poszedł na górę, Surrey postępował za nim z trudną do opisanania ciekawością. Ten ustronny domek, jego ubogie sprzęty, tajemnicze zachowanie się lorda, wszystko to działało silnie na wyobraźnię młodego poety i podsycało jego ciekawość.

Cóż mogło wiązać bogatego lorda z mieszkanką tego domu? Kto była ta niewiasta, która o tak późnej godzinie czekała na jego przybycie i do której można było przyprowadzić obcego?

Gdy kroki lorda dały się słyszeć w przedpokoju, drzwi otwały się nagle i kobieta wysoka, smukła, w czarnej sukni żalobnej ukazała się na progu. Na jej twarzy, obok bruzd które zgryzoła wyrzyła, widać było ślady szlachetnej piękności, wyraz jej był zimny i surowy oko jej jednak płonęło żarem.

— Cóż mi przyniosicie milordzie? zapytała gdy lord skłonił się w milczeniu. Przybywacie tak późno! Czyż znowu zawód mię czeka, znowu płonąca była moja nadzieja?

— Lady Morus, odparł Warwick, Katarzyna jest pomszczoną.

Surrey zdrzął usłyszawszy to imię, widział przed sobą córkę Tomasza Morusa i teraz wszystko zrozumiał. Ona to jak widmo zemsty szpiegowała wszystkie kroki króla i dostarczyła Annie Boleyn dowody, że ją mąż zdradza. Ona i Warwick sprawili że Anna aż w ogrodzie śledziła męża.

W tej chwili jakże zmieniała się powierzchowność Małgorzaty Morus. Policzki zarumieniły się, oko sypało iskrami, twarz nabrała życia a głos niedawno drżący stał się silnym, wyraźnym i śmiałym.

— Mój ojciec pomszczony! zawołała uroczyście. Chodźcie lordzie Warwick, opowiedzcie biednemu nieboszczykowi że jest pomszczony, powiedzcie jego szlachannym oczom, jego zimnym ustom, jego skrwanionym siwym włosom, że jest Bóg na niebie i że wysłuchał mojej modlitwy. Lecz — zawołała nagle: któż to? nie jesteśmy sami?

— Mój przyjaciel, odpowiedział Warwick biorąc Surreya za rękę, ta chwila uroczysta ma go poświęcić do dalszego działania. Nazywa się Henryk Howard, hrabia Surrey.

— Witajcie, rzekła Małgorzata Morus, i podała Surreyowi białą, wychudłą rękę, lud angielski śpie-

wa wasze pieśni, obycie zawsze opisywali tylko to co jest prawdziwie szlachetne.

Surrey ścisnął podaną rękę lecz wzdrygnął się lekko, bo dotychczas samą tylko miłość widywał w oku kobiecym, a teraz widział w nim nieubłaganą nienawiść. Ta biała, zimna niewiasta zgotowała pięknej królowej nieszczeście, zemsta była sprawiedliwa, ale okropna.

Małgorzata wzięta świecę i idąc naprzód wprowadziła gości do małego pokoju obitego kirem, pod którego tylną ścianą stał mały ołtarzyk. Na ścianie wisił krucyfiks, na ołtarzu leżała na srebrnej misie głowa ludzka.

Małgorzata uklękła, głowa ta którą z niebezpieczeństwem swego życia wykradła z mostu londyńskiego i łzami tysięcy-krotnie oblawszy, nabalsamowała własnymi rękoma. Była to głowa jej ojca, głowa kanclerza Tomasza Morusa, ścięta toporem kata. Ileż to razy modliła się przed nią! jakże cieszyła się dzisiaj, gdy usłyszała że kobieta która miłośnymi pocałunkami wyżebrała śmierć jej ojca, została nakoniec upokorzona.

— Teraz cię pogrzebie, mówiła z płaczem, teraz mogę umrzeć gdym słowa dotrzymała. Przekleństwo nieszczęśliwej Katarzyny spełniło się i ciągle spełniać się będzie na wszystkich które Henryk ukocha. Tak, zawołała a postać jej wyprostowała się, oczy błyszczały jakby ożywione nadziemskim blaskiem i zdawały się czytać w mglistej przyszłości, tak mówiła dalej, widzę krwawy obłok w około tronu Henryka, Bóg zemsty patrzy z góry gniewnie, w Towerze kaci ostrzą topory, cios pada, pada znowu, dym krwawy wznosi się ku niebu, ale starzec w chmurze gniewa się jeszcze. W około tronu brzmi przekleństwo, Tower oddycha mordem! Wasze pieśni hrabio Surrey stają się coraz pospelniejsze, nareszcie cichną pod zamachem toporu. Lordzie Warwick, wasze nogi brodzą we krwi, królowie giną z ręki kata i lordowie krew przelewają. Tomasz Morus, jesteś pomszczony! biczują niewolników, którzy przypatrywali się twojej śmierci, wesola Anglja tańczy z katem, płomień stosu wznoszą się ku niebu. O! Boże, litości! — już nie przeklinam, wstrzymaj rękę karzącą, litości! litości! Boże!

— Głos jej stał i zdawał się zamierać w piersi nogi przed nią drżały, była bliska omdlenia. Warwick i Surrey poleciwszy ją starzej słudze, oddalili się wzruszeni.

— Lordzie Warwick, rzekł z cicha Surrey, co myślicie o tych przepowiedniach?

— Jeżeli nogi moje we krwi brodzić mają, odparł tenże, nic mi nie pozostaje jak przypasać miecz do boku i mieć go w pogotowiu. Ale wy miejcie się na baczności i unikajcie dworu, król Henryk zmieny ma humor, a wy serce gorące, jedna pieśń niewczesna mogłaby was zgubić.

— Stałbym się wtedy męczennikiem poezji! odpowiedział Surrey z wymuszonym uśmiechem. Zresztą nie przywiązuję wielkiej wagi do tych proroctw, które wywołała rozgrzana fantazja.

Lord milczał i dopiero przy pożegnaniu rzekł:

— Henryku, gdyby jednak przepowiednia miała się ziścić, znajdzie się mściciel, jak go znalazł Tomasz Morus.

Surrey przyrzekając wzajemność usiłował się roześmiać, ale nie mógł. Smutne jakieś przecucie kamieniem przyłgnęło mu do duszy.

Lord Warwick słusznie przewidywał, że życie Anny Boleyn wisi na włosku. Już nazajutrz widziano lady Seymour w parku St. James, na białym rumańsku obok króla jadącą w złocie haftowanej sukni, ale na głowie miała jeszcze tylko szlachecką koronę czarną aksamitną, wysadzaną perłami.

Wkrótce inna korona miała skroń jej ozdobić. Podczas gdy wesole chwile spędzała z Henrykiem, nieszczęśliwą małżonkę królewską odprowadzono do Toweru i wniesiono przeciwko niej zaskarżenie do parlamentu, o miłości z pięciu szlachcicami, z których jeden był jej bratem. Jeden z oskarżonych w nadziei że pozyska łaskę królewską, złożył fałszywe zeznanie w skutek którego wszyscy zostali na śmierć skazani i ścięci. Anna Boleyn także na śmierć skazana, miała być spalona, lecz Henryk wspomniawszy na słodkie chwile z nią przeżyte, ułaskawił ją i skazał na stracenie mieczem katowskim.

Anna Boleyn przejęta skrucą upadła do nóg żo-

nie dozorecy więzienia błagając, aby jej pozwolono widzieć się z księżniczką Marją córką odepchniętej Katarzyny aragońskiej, dla błagania jej o przebaczenie za wszystko złe które jej matce i jej wyrządziła. Nadaremnie, z własnem nawet dzieckiem z złotowłosą Elżbietą, która była wiernym obrazem matki pożegnać się jej nie pozwolono. Tego samego dnia gdy jej głowa potoczyła się po piasku, w Windsorze brzmiała muzyka weselna. Król Henryk prowadził przed ołtarz Joannę Seymour.

S. N.

KOESPONDENCJA

Z

WIEDNIA.

Wiosna bez jaskółek—Zorza północna—Tyfus—Tegetthof—Teatra—Linoskoczki—Wystawa obrazów Schwinda—Wspomnienie o Haydnie—Towarzystwo ochrony zwierząt—Towarzystwa zarobku kobiecego w Wiedniu i Peszcie—Emancypacja kobiet w Węgrzech—Kradzież dzieci—Cyganka zmartwychwstała—Wiedeńskie mody wiosenne.

Mamy już wiosnę, zieleni się murawa, rozwijają się liście na drzewach, ciepło dochodzi do kilkunastu stopni, i jak się zdaje śniegu już nie będzie — jaskółki jednak dotąd nie przyleciały. Odstrasza je zapewne śnieg na górach jeszcze leżący, a skoro ten staje, przylecą, pewnie przylecą, choćby tylko dla nas, nawykłych do widoku ich skrętnej pracy w ukochanej ojczyźnie, za nią i za niemi stęsknionych. Zresztą zwiastowały nam już wiosnę grzmoty i pioruny w sam Poniedziałek wielkanocny. Oprócz tego podobno dość pospolitego o tej porze zjawiska, mieliśmy tu niedawno inne, ciekawsze, bo zorzę północną, której jednak ani wasz korespondent, ani żaden z jego kolegów nie widział. Widział ją tylko astronom tutejszego obserwatorium, jemu więc na słowo wierzyć trzeba. Zorza ukazała się w nocy z 9 na 10 b. m. o godz. 11 min. 30 i świeciła do godz. 12 m. 45. Będzie wojna...

Od kilku tygodni wszystkie tutejsze szpitale przepełnione są chorymi na tyfus. Według zdania lekarzy choroba ta grasuje w Wiedniu epidemicznie, a przyczyną jej woda zepsuta w studniach, w skutku ostatniego wylewu Dunaju. Władze rządowe wezwały gminę do zakładania nowych szpitali tymczasowych i dopóki te nie będą gotowe, nowi chorzy dla braku miejsca nie mogą być przyjmowani. Zarazem zarządzono naprawę wodociągów gdzie tego jest potrzeba, w skutek czego porzokopywano wiele ulic wprawdzie z wielkim pożytkiem, ale też i z niemalą niewygoda dla przechodniów. Jakaż szkoda, że wbrew powolnej naturze niemieckiej, niezrobiono tego pierwój, nim się choroba na dobre zagnieżdziła. Nie jeden z tych co zmarli, lub jeszcze pomrą na tyfus, byłby się napił dobrej wody, a tak... Lecz co nam do cudzego gospodarstwa.

D. 7 b. m. Austria straciła jednego z najdzielniejszych synów swoich, zwycięzcę z pod Helgolandu w wojnie duńskiej, opiewanego w pieśniach słowiańskich bohatera z pod Lissy w wojnie włoskiej. Śmierć prawie nagła Wihelma Tegetthofa, wiceadmirała austriackiej marynarki wojennej, głębokie sprawiła wrażenie, tak we wszystkich kołach politycznych, jak i w sferach dworskich. Cesarz bawiący w Meran, telegrafem, kilku zaś arcyksiążąt i arcyksiężną Zofia, matka cesarza, osobiście wynurkali stroskaną matkę zmarłego, najgorętsze współczucie. Zwłoki wystawione na katafalku w pałacu marynarki, w pokoju, w którym zmarły pracował za życia. Trumna była biała, metalowa, otaczały ją rośliny egzotyczne i zyrandole ze świecami, na przodzie stały trzy taburety, na których leżały order i insygnia godności zmarłego. Dla nawiedzenia zwłok, od wielkiej soboty niezmierne cisnęły się tłumy. W niedzielę ścisł był taki, że suknie na sobie podarto w kawałki, wszystkie szyby na schodach i korytarzach powygniato i dopiero patrol wojskowy zdołał przywrócić porządek. Pogrzeb odbył się w poniedziałek wielkanocny z wielką okazałością. Od godziny 12 w południe nieprzejrzane tłumy ludu, mężczyzn, kobiet, starców i dzieci przeciągały po wszystkich ulicach. Wszelkie podwyższenia, sztachety rusztowania, okna, balkony, dachy były szczerle obsadzone. Rzecz dziwna, że w tak wielkim zgromadzeniu nie dostrzeżliśmy ani jednej twarzy, wyraża-

*) Historyczne.

jącej najłżejszy smutek, chociażby ślad patryjotycznego wzruszenia. Była to gawiedź miejska, przypatrząca się obrzędowi pogrzebowemu z taką samą krzykliwą głupowatą ciekawością, z jaką patrzy na mały wywracające koziołki w menażerji cesarskiej w Schönbrunnie. O godz. 12 w południe zamknięto przejazd na ulicach i wojsko mające wzięcie udział w uroczystości pogrzebowej pozajmowało stanowiska, poczem zaczęły się schodzić rozmaite deputacje. Był to widok serce rozdzierający, gdy sędziwa matka po raz ostatni żegnała zwłoki syna. Nareszcie zamknięto trumnę i orszak ruszył. Trumnę nieśli podoficerowie marynarki. Najprzód szło wojsko, za niem koń zmarłego, dalej karawan sześciokonny, za którym jechał zwolna rycerz w zbroi. Arcyksiążęta, i najbliżsi krewni zmarłego, z wyjątkiem matki, która nie była obecna, szli najbliżej za trumną. Po krótkim zatrzymaniu się w kościele dla pokropienia zwłok, orszak postępował dalej w tym samym porządku, tylko arcyksiążęta opuścili go, zajmując miejsca obok wojska, które stanęło dla dawania salw. Zwłoki pogrzebano na cmentarzu w Matzleinsdorf, w obec 30,000 tłumy ludzi. Koszta pogrzebu pokrył cesarz z szkatuły prywatnej.

Gdy w wielkich teatrach tutejszych ostatniemi czasy nie grano nic nowego, ograniczyć się tylko na krótkiej wzmiance o teatrach ludowych. W teatrze na Wiedniu grywają z wielkiem powodzeniem sztukę pod tytułem: „Der verlorne Sohn,” O. F. Berga. Bohaterem tej sztuki, miał być pierwotnie ksiądz, który przed otrzymaniem święceń, miał syna, a zostawszy księdzem, nie wie co począć z tym synem i ztąd wpada w sytuacje dramatyczne. Policja jednak, (mówię policja, nie chcąc się przyznać, że i w naszym państwie konstytucyjnym istnieje cenzura) zrobiła z księdza Armenvatera, niby opiekuna ubogich w gminie, przez co tendencja i znaczenie sztuki zostało zupełnie zmienione. W teatrze na Leopoldstadtzie (Carltheater) tłumy widzów ściąga co wieczór nowa operetka Offenbacha „Księżniczka Trapzuntu.” W teatrze wodwilowym w mieście, dr. Klug dość już znany w Europie, daje przedstawienia z olbrzymim mikroskopem, przez który infuzorja wydają się wielkie jak krokodyły, a zwierzątka żyjące na przyprawianych włosach kobiecych, jak jaszczurki i smoki. W teatrze na Jozefstadtzie popisuje się towarzystwo gimnastyczne Merkla i Manleya, którego członkowie zręcznością w lataniu po powietrzu, przewyższają wszystkich swoich na tem polu poprzedników.

Wspomniałem w jednej z poprzednich korespondencji o dramacie Anzenrubera „Proboszcz z Kirchfeldu.” Sztuka ta została przełożona na język czeski i jest grywana w teatrze narodowym w Pradze z wielkiem powodzeniem. Operetka zaś Straussa „Indigo” o której także już pisałem, robi jak się zdaje wkrótce podróż naokoło ziemi. Wszystkie większe austriackie i niemieckie sceny przygotowują jej przedstawienie. Dowiadujemy się że „Indigo” będzie także przedstawiony w Petersburgu, pod dyktando samego kompozytora. Straus otrzymał także podobne zaproszenie z Ameryki i to pod tak korzystnymi warunkami, że gdyby się na nie zgodził, stałby się wkrótce panem kilku milionów, mówią jednakże to odmówił.

Austriackie towarzystwo sztuk pięknych otworło wystawę dzieł Schwinda. Nadesłano tak wielką ilość obrazów tego mistrza, że w lokalu Towarzystwa nie można było wszystkich od razu pomieścić, zostawiono więc część wielkich kartonów i akwareli do przyszłej wystawy. Ponieważ i my nie mieliśmy sposobności obejrzenia wszystkiego, odkładamy obserwacje sprawozdanie do przyszłego listu. Połowa czystego dochodu z tej wystawy przeznaczona jest na wzniesienie pomnika Schwindowi.

Temi dniami stowarzyszenie muzyków pod nazwą „Haydn” obchodziło uroczystością rocznicę swego istnienia. Ma ono na celu wspieranie wdów i sierot po muzykach, założycielem zaś jego był Florjan Gussmann kompozytor na dworze Marji Terezy. W tym stuletnim okresie swego istnienia stowarzyszenie pomnożyło majątek do półmilionu guldenów, chociaż udzieliło wsparcie niemałej liczbie wdów i sierot. Ciekawem jest że żona Mozarta nie uzyskała wsparcia od stowarzyszenia, ponieważ Mozart nie był jego członkiem. Zapominał zawsze przyjąć swoją metrykę, a stowarzyszenie nie chciało przyjąć go na członka bez metryki, chociaż dzieła jego wykonywało na swoją korzyść nie pytając kompozytora o metrykę, a nawet przyjmowało jego usłu-

gi. Podobnie i Haydnowi stawiano trudności, żądając od niego zobowiązań, które go odstraszały. Przecież namyślono się po długim lat przeciągu i przyjęto go bezwarunkowo. Haydn wywdzięczył się za to po książęciu, ofiarowawszy stowarzyszeniu trzy oratoria: Tobiasz, Stworzenie i Pory roku, które funduszowi wdów i sierot przyniosły 112,000 guldenów. Stowarzyszenie uważając Haydna jako największego dobroczyńcę, połączyło obchód swego jubileuszu z uczczeniem jego pamięci. Obchód trwał dwa dni i odbył się w teatrze nadwornym, którego konstrukcja jest tego rodzaju, że produkcje muzyczne nie mogą nigdy wypaść w nim dobrze. Szkoda że nie użyto do tego celu opery, lub sal Towarzystwa muzycznego. Przed pulpitem kapelmistrza postawiono biust Haydna uwieńczony bluszczem. Po wykonaniu krótkiego Andante Haydna, nastąpił stosownie do okoliczności prolog, poczem wykonano „Stworzenie.” Następnego dnia produkcja była zupełnie taka sama, z tą różnicą, że zamiast „Stworzenia” wykonano „Pory roku” także Haydna.

Istnieje tutaj od dość dawna Towarzystwo ochrony zwierząt, które na początku bieżącego miesiąca odbyło doroczne walne zgromadzenie. Ze sprawozdania odczytanego przy tej sposobności dowiadujemy się, że towarzystwo ma filje w Czechach, Styryi, Tyrolu, Krainie, Siedmiogrodzie i t. d. Rozciąga ono opiekę nad ptakami a przytem czuwa, aby się obchodzono po ludzku z bydłem rzeźnym, końmi, psami. Obecnie wzięło sobie za zadanie wykołatać zaprowadzenie na kolejach żelaznych wagonów nowego rodzaju do transportowania bydła, Stowarzyszenie liczy tylko 500 członków, majątek jego wynosi jednak przeszło 3,000 guldenów. Sekretarz stowarzyszenia miał przy tej sposobności wykład pod tytułem: „Stowarzyszenie opieki nad zwierzętami i wojna,” w którym na podstawie dat statystycznych dowiódł, że chciwi krwi i despotyczni władcy narodów, prawie bez wyjątku lubili dręczyć zwierzęta. Jako przykład wymieniono także Napoleona III, który w młodości będąc w Szwajcarii i Anglii, okazywał bardzo złe serce, zarówno dla zwierząt jak i dla ludzi. Stowarzyszenie uchwaliło dać medal srebrny pani Marji Semlitsch w nagrodę za jej działanie na polu ochrony zwierząt i zamianowało księżnę Marją Lobkowitz, hrabinę Auersperg i księżnę Dietrichstein opiekunkami stowarzyszenia. Nadto dla rozszerzenia swojej działalności postanowiło wciągnąć w swoje grono nauczycieli wiejskich z okolic Wiednia.

Walne zgromadzenie towarzystwa zarobku kobiecego odbyło się d. 30 z. m. Krótka przemowa pani Gabryeli Neuwall, prezydentki, korzystnie sprawiła wrażenie, ale sprawozdanie za rok ubiegły które czytała sekretarka, panna Aglaia Enderes, przeszło nadzieje wszystkich największych zwolenników tego towarzystwa. Oto krótka treść jego: Towarzystwo rozwija się bardzo pomyślnie i nie opuszczając dawnych dróg, wstępuje na nowe. Do szkoły handlowej utrzymywanej kosztem towarzystwa uczęszczało w roku ubiegłym 72 uczennic. Z tych 58 ukończyły nauki z bardzo dobrym postępem, a z nich 28 prosiło o pośrednictwo w wyszukaniu odpowiednich miejsc. Do 30 marca towarzystwo umieściło na posadach 13, z pensją 25 do 50 guld. miesięcznie. W bieżącym roku szkolnym uczęszcza do szkoły handlowej 75, do szkoły powtarzania 33, na trzy kursa języka francuzkiego 140, na dwa kursa języka angielskiego 78, do szkoły rysunku przemysłowego 21 uczennic. Obok kursów powyższych istnieje nadto szkoła przygotowawcza, która następcza dziewczętom sposobność ukształcenia się o tyle, aby mogły następnie uczęszczać na jeden z kursów specjalnych. Szkoła ta otwartą została z początkiem bieżącego roku szkolnego; uczęszcza do niej 53 uczennic i 5 frekwentantek, które słuchają tylko niektórych przedmiotów. Nauka szycia została bardzo rozszerzona. Pierwotnie uczono tylko szycia na maszynie i kroju bielizny, obecnie zaś ucza szycia w rękach, rysunku krojów i robienia sukni. Do tego oddziału uczęszczało 458 uczennic, z tych 48 bezpłatnie. 44 za opłatą, 256 wzięło 2808 lekcji w szyciu na maszynie, a 110 uczyło się rysunku krojów i robienia sukien. Nadto urządzono trzeci kurs telegrafji, na który uczęszcza 53 uczennic. Poprzedni kurs ukończyło 31 uczennic, z których 19 zgłosiło się o posady, i otrzymało takowe z pensją 240 do 300 guldenów rocznie przy telegrafach prywatnych w Wiedniu. Przy fabryce kopert listowych w drukarni rządowej pracuje

86 robotnic, które zarabiają po 5 do 6 guld. tygodniowo i wyrabiają dziennie 130,000 kopert. Dochody towarzystwa składające się z opłat od członków, darów dobrowolnych, dochodu z opłat szkolnych itd. wynosiły w roku ubiegłym przeszło 10,000 guld. wydatki przeszło połowę tego, majątek stowarzyszenia 14,820 gulden. Członków było 1662 uczennic ogółem 920. Na rok przyszły towarzystwo zamierza urządzić drugi kurs w szkole przygotowawczej, tudzież kursa chemii, fizyki, gospodarstwa społecznego, higieny, i osobną własną szkołę zecerstwa.

(d. n.)

WIDZENIA

FANTAZJA

JANA TURGENIEWA.

(Dalszy ciąg).

XVI.

Jak wtedy gdy stałem obok starożytnych rzymskich zwalisk, z początku głuche zapanowało milczenie, aż nagle, tuż za mojem uchem, odezwał się śmiech gruby i ordynaryjny, a zaraz po nim jęk i odgłos ciała, wpadającego w wodę i pasującego się z jej falami. Obejrzałem się w około — nie było nikogo, ale po chwili echo wybrzeży powtórzyło słyszane dźwięki i ze wszech stron dochodził przerażający hałas. Był to nieznosny chaos na który składały się najróżnorodniejsze odgłosy, krzyki ludzkie, świst piszczałek, straszliwe wycia i przekleństwa, śmiechy okropne i przejmujące strachem... pluskanie wiosel na wodzie, uderzenia siekier, odgłos rozbijanych drzwi i kufrów, płaczliwy skrzyp żagli, odgłos kół toczących się po zwirze, stąpanie mnóstwa koni, dźwięki pogrzebowych dzwonów, brzęk kajdan, straszliwy trzask ogromnych pożarów pijackie śpiewki, straszne szyderstwa i bluźnierstwa, żałośnie skargi i narzekania, rozpaczliwe prośby, komendy wojskowe, przerażające ryki i chrapanie konających, pomieszane z hulaszczemi tony pikulinki (rodzaj fletyka) i nutą rozkielznanęj sarabandy. Wyraźnie słychać było krzyki: pall.. zabij go!... powieś!.. spall.. wrzuc do wody!... dalej do dzieła!... żadnego pardonu!... rznij!.. morduj!... I słyszałem jeszcze rozpaczliwe wrzaski i ostatnie westchnienia umierających w płomieniach... a jednak jak tylko mogłem zasięgnąć okiem nic widać nie było... zewnętrzna postać kraju żadnej nie uległa zmianie. Przed nami płynęła spokojnie milcząca i pusta rzeka; wybrzeża jej zdawały się jałowe i puste. Zwróciłem się ku Alicji, położyła palec na ustach.

„Stefan Timofiecz!... Stefan Timofiecz!... (1) krzyk ten rozległ się po całej równinie. Niech żyje nasz batiuszka! nasz atamah! nasz ojciec żywiciel!... W tej chwili zdało mi się że olbrzym jakiś powstał tuż obok mnie, i krzyknął grzmiącym głosem. Frolka! (2) gdzie jesteś psie jeden?... Dać ognia!... pal na wszystkie strony!... Dalej! rąbnij siekierą w te białe ręce! (3) narobić mi z nich mięsa na pasztety!... ”

I uczułem żar syczącego tuż obok pożaru, gorzkim dym dusił mnie w gardle, i jednocześnie coś ciepłego i płynnego, krople krwi świeżej, obryzgały mi twarz i ręce. Dzikie śmiechy rozlegały się w około.

Straciłem przytomność, a gdy przyszedłem do siebie, unosiliśmy się nad brzegiem mojego lasu, w pobliżu starego dębu.

— Patrz tylko jaka to śliczna ścieżka, tam na pochyłości lasu: płaczące wierzby pochylają się nad nią, a księżyc złoci ją bladawem swem światłem.... Czy chcesz pójść tam ze mną? pytała Alicja.

1) Stefan albo Steńka Bazin, kozak doński, był najpierw rozbojnikiem morskim na Woldze i na morzu Kaspjskim, a następnie przywódcą strasznego powstania chłopów, zdobył Astrachan i spustoszył kilka prowincji Rosyi południowej. Żył około środka XVII wieku. Został żywcem łamany kołem.

2) Brat Steńki.

3) Tak lud przezywał szlachtę.

Byłem tak znudzony i złamany, iż zaledwie mogłem odpowiedzieć. Chcę wrócić do domu!

— Jesteś już przed nim, odrzekła.

I rzeczywiście stałem sam jeden przed drzwiami. Alicja znikła. Pies stróż wierny, zbliżył się do mnie popatrzył jakoś podejrzliwie i uciekł wyjąc. Nie rozbrając się rzuciłem się na łóżko i znudzony zasnąłem.

XVII.

Nazajutrz całe rano cierpiałem silną migrenę, prawie ruszyć się nie mogłem, tak jednak byłem zajęty niepojętą moją przygodą, iż prawie nie uważałem na to. Wstydzilem się teraz mego postępowania i gniewałem sam na siebie. „Alicja ma słusność, wstydzę się mego tchórzostwa... bałem się sam nie wiem czego, zamiast korzystać z tak nadzwyczajnej sposobności... Mogłem widzieć i słyszeć cesarza i ze strachu straciłem głowę i uciekłem jak dzieciak gdy zobaczy różgę.... No! bo co do Baziana, to wcale co innego... jako szlachcic i właściciel... ale i tak nie powinienem był się bać... zgrzeszyłem brakiem odwagi...”

Ale to rzecz niepotrzebna... wszystko to sniło mi się tylko zapewne... Przywołałem gospodyni.

— Marfo, czy pamiętasz o której godzinie wczoraj udałem się na spoczynek?

— Hum! batuszka, trudno na to odpowiedzieć?... zdaje mi się że bardzo późno. Wyszedłeś z domu jak tylko się ściemniało... i znowu wróciłeś i do północy maszerowałeś po swoim sypialnym pokoju... Potem znowu nade dniem... tak nade dniem... i to już tak od trzech dni... od trzech dni... Czy masz jakie smartwienie?...

— Nie!.. nie!.. Nie mogę więc powątpiewać o rzeczywistości powietrznych moich wędrówek — pomyślałem, i znowu zwracając się do gospodyni. Marfo, jak ja dziś wyglądam? zapytałem nagłe.

— Jak wyglądasz?... no czekaj, batuszka, niech ci się przypatrzę... Masz policzki zapadłe... jesteś blady... i prawdę mówiąc żółty jak wosk.

Odpowiedziałem Marfę, gorzej jeszcze podrażniony.

— Albo mnie to dobieje albo oszaleję pomyślałem siadając przy oknie... To straszna rzecz!... raz już skończyć z tem trzeba... Serce bije mi gwałtownie.... Gdy leczę z nią w powietrzu, zdaje mi się że mi ktoś z serca wysysa, że cała siła żywotna wydziela się z niego jak w lecie sok z brzoźowego drzewa, naciętego siekierą..... To straszne! straszne.... aż zimnym przejmuję dreszczem..... A Alicja?... formalnie igra ze mną jak kot z myszą..... może ma zamiar zrobić mi coś złego.... No! już dziś ostatni raz jęć się powierzę.... będę bacznie uważał... i.... Ale jeśli ona wysysa krew moją?... ha! zgroza!... Zresztą tak niesłychanie prędkie latanie musi być szkodliwe.... mówiono mi że w Anglii jest surowo zakazane, jechać koleją więcej niż 120 wiorst na godzinę....

I tak długo jeszcze myślałem i przemyślałem — ale o dziesiątej wieczór byłem znów pod starym dębem.

XVIII.

Noc była ciemna, posępna i zimna; w powietrzu czuć było deszcz. Zdziwiłem się niemało nie zastawszy nikogo pod dębem. Zacząłem przechadzać się w pobliżu, chodziłem tam i napowrót, rozglądając się w ciemnościach..... Jak okiem dojrzeć mogłem, nie było nikogo... Czekałem i czekałem długo — nareszcie zacząłem wołać Alicji, coraz mocniej głos podnosząc — daremnie. Smutno mi się zrobiło czułem się prawie chory. Zapomniałem o niebezpieczeństwie, o wszystkim nad czem rozmyślałem przed chwilą — nie mogłem, nie chciałem przypuszczać że Alicja już nie wróci.

— Alicjo! Alicjo! czekam na ciebie!.. przybywaj!..

Czyż nie przyjdiesz do mnie? Krzyknąłem na koniec rozpacznie!... krzyk mój zbudził widać jakieś kruka siedzącego na wierzchołku pobliskiego drzewa, — zerwał się i wśród gałęzi zatrzepotał skrzydłami. Ale Alicja się nie pokazywała.

Smutnie zwiesiwszy głowę, wracałem do domu, gdy doszedłem już do traktu obok stawu, widziałem

światło wychodzące z okien mego pokoju; to błyszczało jasno, znowu zniknęło zasłonięte poruszającymi się gałęziami rosnących pod oknem jabłonek. I zdało mi się że światło to przedstawia anioła stróża czuwającego nademną. W tem nagle posłyszaliśmy za sobą jakiś szelest — i w tej chwili uczulem się podniesionym w górę, jak przepiórka pochwyciona przez jastrzębia. Była to Alicja. Twarz jej dotykała moją, ramię objęło mnie silnie, uczulem jakoby ścieśniające się zimne ogniwa łańcucha. Przemówiła, a głos jej, zwykle cichy jak szeptanie, dochodząc teraz do uszu moich, wydał mi się jakimś lodowatym technieniem.

— To ja! rzekła mi.

Radość i twoga miotaly nią jednocześnie — unosiliśmy się w niewielkiej od ziemi odległości.

— Więc miałaś zamiar nie przyjść dziś?

— Tęskniłeś za mną?... więc mnie kochasz! o teraz jesteś moim!

Przełakłem się tych ostatnich słów; nie wiedziałem co odpowiedzieć.

— Nie puszczali mnie, rzekła znowu; pilnowali mnie bacznie.

— Któż ma władzę zatrzymać cię?

— Gdzież chcesz lecieć? zapytała nieodpowiadając na moje pytanie.

— Poniesz mnie do Włoch... nad brzeg jeziora... wszak wiesz....

Poruszyła głową na znak stanowczej odmowy. W tej chwili postrzegłem że twarz jej już nie była przezroczysta. Zacząłem przyglądać się jej oczom, wyraz ich przykre na mnie zrobił wrażenie. W spojrzeniu jej było coś przerażającego, przypominającego szmartwiałego węża ożywającego się pod wpływem słonecznego ciepła.

— Alicjo! zawołałem, błagam cię powiedz mi kto jesteś?

Wzruszyła ramionami; urażony chciałem dać jej naukę. Umyśliłem zażądać aby mnie poniosła do Paryża, tam nie zbraknie jej powodów do zazdrości mówiłem sobie.

— Alicjo, zapytałem, czy nie lękasz się wielkich miast, na przykład Paryża?

— Nie.

— Czy tak? ani nawet miejscowości tak oświetlonych jak bulwar włoski?

— Nie! odpowiedziała znowu, dziennego tylko światła unikać muszę.

— Więc poniesz mnie na bulwar włoski.

Zarzuciła mi na głowę koniec długiego swego rękawa i w tej chwili otoczyła mnie jakaś mgła odurzająca; światło, szmer, wszystko co mnie otaczało znikło mi z przed oczu, straciłem prawie poczucie siebie... zaledwie wiedziałem że żyję — jednak stan ten sprawił mi pewną przyjemność. W tem nagle się rozjaśniło: Alicja odsunęła rękaw osłaniający moją głowę i ujrzałem nisko pod nami wielkie nagromadzenie rozległych budowli, dużo światła i dużo ruchu... Byłem w Paryżu.

XIX.

Byłem już przedtem w Paryżu, i dla tego rozpoznałem od razu miejscowość w której znajdowaliśmy się obecnie. Był to ogród Tuilleryjski, zdobny wielkimi swemi kasztanami i żelazną kratą przy której stali na warcie żuawi, podobni do dzikich zwierząt. Przelecieliśmy nad pałacem, nad kościołem św. Rocha i zatrzymaliśmy się nad włoskim bulwarem. Tłumy ludzi, młodych i starych, kobiet wystrojonych i robotników w bluzach, cisnęły się na chodnikach. Restauracje i lśniące złotem kawiarnie, błyszczały niezliczonymi promieniami światła. Środkiem ulicy toczyły się i miały niestannie, omnibusy, fiakry i najróżnorodniejsze powozy. Dokoła blask, wrzawa gwar, ruch ani wiedzieć gdzie zwrócić oczy. I dziwna rzecz — bynajmniej nie brała mnie ochota opuścić moje napowietrzne obserwatorium, tak wysokie i tak czyste i wnieść się w to ludzkie mrowisko. Czulem wyraźnie, że jakaś para czerwona, gorąca, ciężka i jakby cuchnąca, wznosiła się ku mnie, — można się udusić w podobnej atmosferze. Kiedy namyślałem się czy spuścić się czy pozostać na mojem stanowisku, doleciał aż do mnie głos loretki, ostry jak świst lokomotywy. Przemawiała językiem wy-

zywającej czelności, a ta mowa jej robiła mi wrażenie ukąszenia jadliwego gadu. I zaraz wyobraziłem sobie w myśli twarz bez wyrazu, płaską, pucłowatą, ubieloną, uróżowaną z oczami lichwiarza, ukropowane włosy, krzyczący pęk kwiatów pod dziwnym kapeluszem, paznokcie obcięte w kształcie szponów i olbrzymia krynolina — słowem prawdziwy typ Paryżanki — loretki. Następnie wystawiłem sobie zaraz w myśli, jakiegoś poczciwego rodaka, upędzającego się za tą brzydką, na sprzedaż wystawioną lalką na sprężynach. I widziałem jak z mistyfikowanego, zgłupiałoby niby nie mogący wymówić r. nasładowuje zachowanie się garsonów Vefura, wygina się, wrzeszczy i wymyśla różne płaskie koncepta i niesmaczne żarty. Zdjęty odrzą pomyślałem sobie: O! tu Alicja nie znajdzie powodu do zazdrości.

Postrzegłem że zaczynamy się spuszczać, Paryż wysyłał ku nam swe zgłębki, wrzawy i odory.

— Wstrzymaj się! zawołałem do Alicji, czy nie czujesz jak tu duszno?

— Wszak sam żądałeś abyśmy tu przylecieli.

— Zbłądziłem — więc zmieniam zamiar. Proszę cię Alicjo, uciekajmy gdzie daleko. Ach! patrz, oto książę Kulmamełow kroczy bulwarem, a przyjaciel jego Sergiusz Waraxin, kiwa na niego, wołając: Iwan Stepanicz! Iwan Stepanicz! chodźmy na kolację. Och! Alicjo unieś mnie daleko od Mabilu, daleko od Maison-Dorée, od Jockey-Klubu, od tych wygolonych żołnierzy i ich pomnikowych koszar, daleko od milicji miejskiej, od absyntu, od graczy w karty i graczy giełdowych, od czerwonych wstążeczek u fraka i u paltota, od kursów literatury i broszur rządowych, od paryzkich komedji, paryzkich oper, paryzkich grzeczności, paryzkich impertynencji i grubiaństwa. Uciekajmy! uciekajmy! uciekajmy!

— Spojrz na dół szepnęła Alicja, już nie jesteśmy nad Paryżem.

Otworzyłem oczy. Rzeczywiście ciemna równina poprzecinana tu i owdzie drogami, wyglądającymi jak białe linje, zostawała coraz dalej za nami a w dali na horyzoncie, niezliczone światła oświetlające stolicę świata, odbijały się na niebie, jakby łuna niezmiernego pożaru.

XX.

Znów, jak przedtem, rękaw sukni Alicji zasłonił mi oczy, znów straciłem przytomność, nareszcie mgła się rozviała.

Gdzież jestem? cóż to za park z lipowemi szpalami poobcainanemi pod linję? A te porozrzucane tu i owdzie sosny, podobne do parasoli, portyki i świątynie à la Pompadour, posągi tritonów w stylu rococo i nimfy w rodzaju Bernin'a, stojące obok tych wodotrysków dziwnie ukształtowanych i otoczonych balustradą jakby z zakopanego marmuru? Byłoby to Versailles?... Nie! pałac ten za nędzny na wersalski, architektura pozbawiona właściwego typu. Książę jakiś posępny, przysłonięty mgłą chmurą, a grunt wygląda jakby powleczony lekką warstwą dymu, wzrok mój nie może odgadnąć czy to jest odbłyśk księżycy czy mgła. Nieco opodał, śpiący łabędź unosi się w basenie, wyciągnięta jego szyja przypomina mi stężony lodem śnieg naszych stepów. Tu i owdzie robaczki trawników i na podstawach podtrzymujących posągi świecące, lśnią i błyszczą jak djamenty.

— Jesteśmy nad Monachium, rzekła Alicja, po nad parkiem Schwetzingen.

— Ach jesteśmy więc w Niemczech, pomyślałem, i zacząłem się przysłuchiwać. W około głębokie panowało milczenie, słyszałem tylko cichy szmer samotnego, niewidzialnego strumienia, który zdawał się wyraźnie szeptać niestannie jedne i te same słowa: Tam! tam! tam! zawsze tam! W pośrodku jednej alei ocienionej zielonemi szpalerami, postrzegłem jakiegoś pana w galowym stroju, miał u obuwi czerwone obcasy, mankiety koronkowe, długa szpada uderzała go po nogach, z arystokratyczną galanterją prowadził pod rękę jakąś piękną damę, przybraną w bogatą rogówkę i upudrowane włosy.... Były to niewyraźne i dziwne jakieś postacie!.. Chciałem przypatrzyć im się bliżej, ale w mgnieniu oka się rozviały, i znowu słychać tylko było niestanny szmer strumyka.

(d. c. n.)

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM MŁODEJ PANNY

ulożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Każdy krok zbliżał mię ku hr. Witoldowi, nie mogłam go ominąć i pragnęłam zbliżyć się do niego, a zarazem zdejmowała mię nieśmiałość, nieśmiałość dziwna we mnie tak przyzwyczajonej już do spotykania obcych a różnych ludzi, tak wprawnej w światowe znalezienie się i obejście. A przy tem natrętni asystenci gniewali mię i niecierpliwili, zdawało mi się że przy ich płytkich komplementach i pospolitej rozmowie, wyglądam sama płytko jakoś i pospolicie.

Wszakże trzech już z kolei panów zostaje których mam obdarzyć wianką, dwóch, jeden już tylko i oto przychodzi kolej na hr. Witolda, który stoi z ręką opartą o fortepian i czuje, czuje że patrzy na mnie....

Nie rumieniłam się jednak, owszem, zdaje mi się że musiałam zblednąć trochę.

Szepnęłam po cichu Helence aby pottrzymała moją tacę i z zieloną wianką w ręku przystąpiłam do hr. Witolda.

— Sądziłem wyrzekł z ukłonem, że pani ominiesz mię i że nie zechcesz przystroić mego ubrania w ślubny symbol...

Usłyszawszy te słowa zwrócone do mnie podniosłam oczy, i na tej szlachetnej rozumnej twarzy, którą od tak dawna nosiłam wyrytą w mej pamięci, zobaczyłam uśmiech tak otwarty, prosty, życzliwy, że objawiły się w nim całe skarby łagodności i dobroci. Poczuliłam wzruszenie całkiem niepodobne do tych jakim podlegałam dotąd, bo wewnętrzne, prosto z serca płynące, podobne do czei jaką się oddaje czemuś wielkiemu, do przecucia co podnosi różek tajemniczej zasłony, za którą przyszłość się kryje, do sympatji która bezwiednie pociąga nas tam gdzie czujemy szczęście nasze.... Obawa i nieśmiałość odstąpiły mię, nie spuściłam oczy z twarzy hr. Witolda i odrzekłam:

— Jabym panu nietylko wiankę mirtu, ale jeszcze i gałązkę wawrzynu ofiarować pragnęła.

— Wawrzynu! powtórzył hr. Witold ze swoim otwartym, dobrym uśmiechem; na wawrzyny zasłużyć potrzeba.

— Pan je zdobędziesz! zawołałam, wszak przodkowie pana nosili je na czołach...

Urwałam nagle i przeleżałam się własnych wyrazów.

Myśl mi przemknęła po głowie, że rozmowa jaką zaczęłam z hr. Witoldem była niestosowną, niedorzeczną, naiwną jakby pensjonarki jakiej. I poczułam że rumienie się po uszy i tak się zmieszłam, przeleżałam, i zasmuciłam, że sama już nie wiedziałam czy mam odejść czy pozostać, czy mówić dalej, czy milczeć.

Z położenia tego wyrwał mię wielki ruch jaki się zrobił w salonie. Gospodyni domu wsparta na ra-

mieniu syna rozpoczęła orszak par, które wychodziły z salonu, aby udać się do czekających u bramy powozów. Wzrok mój jakby niepojętym jakimś magnetyzmem wiedziony podniósł się znowu na hr. Witolda, stał niedaleko pomiędzy kilku innymi mężczyznami i patrzył na mnie z rodzajem zdziwienia i zajęcia. Kiedy spojrzenia nasze spotkały się uczynił taki ruch jakby chciał podać mi ramię, ale w tejże samej chwili znalazłam się w istotnym obłężeniu.

Panowie Julian, Ignacy, Alfred, Aleksander i inni tego rodzaju niewolnicy, ciągnący zwyczajnie tryumfalny mój rydwan, otoczyli mię ze wszelkich stron z pośpiechem, ofiarując mi swe usługi.

Hr. Witold który był już uczynił ku mnie parę kroków cofnął się i podał ramię pierwszej lepszej blisko niego stojącej pannie. Ja zaś poszłam w parze z odprawionym a niezrażonym moim konkurentem p. Aleksandrem, smutna jakoś i niezadowolona. Znowu mi się wydało że w tem płytkim i pospolitem otoczeniu moich niewolników, to jest pseudo-adoratorów, wyglądam sama płytko i pospolicie. Zmrok zaczynał zapadać, gdy powozy nasze stanęły przed bramą buchającego od jarzących świateł kościoła.

Liczne tłumy ciekawych które go, zalegały, rozstąpiły się tworząc pośrodku dla weselnego orszaku przejścia o ścianach żyjących, ruszających się, szepczących udjamentowanych szeroko rozwartemi i błyszczącemi ciekawością oczami. Pomiedzy temi dwoma żywymi ścianami przesuwaly się z szalestem bogate suknie o długich atłasowych i aksamitnych ogonach, przykryte do połowy sobolami i gronostajami, wytworne fraki panów, błyskały białe ich krawaty i rękawiczki, unosiły się głowy młodych dziewic strojne w warkocze, loki i kwiaty.

A lud patrzył coraz ciekawiej na tę wystawę bogactwa i blasku, zdawał się oddech tłumić w sobie aby lepiej widzieć wszystkie szczegóły, i tylko gdzieś gdzie szemrały szept zachwycenia i wyciągały się ręce wskazując poblizkim oczom najpiękniejszą z dziewic, najwynioślejszego z panów, najstrojniejszą z matron.

Na stopniach ołtarza w pontyfikalnym stroju i liczną otoczoną asystencją, stał jeden z miejscowych dygnitarzy kościelnych i rozpoczął ceremonję ślubnego obrządku.

Panna młoda stała blada i niema pod swym przejrzystym śnieżnym woalem, oczy miała suche, niezwykłym ogniem niepokoju płonące, usta bez koloru prawie, mało różniące się białością od reszty twarzy. Za to pan młody pasowy był jak piwonia, czoło nawet całe powleczone miał szkarłatem. Z tym zbyt zbytecznym rumieńcem i zwykłą swą niezgrabną postacią byłby śmiesznym nieledwie, ale oczy jego zazwyczaj tak blade i nieznaczące, paliły się teraz miłym jakimś poczciwym blaskiem. Wymawiając słowa przysięgi pewnym i stanowczym głosem, patrzył w ołtarz z przejęciem się i uczuciem prawdziwej pobożności. Znać było, że człowiek ten całym swem prostaczem i nieokrzesanem, ale poczciwym sercem wierzył i kochał.

W czasie ceremonji między osobami składającymi orszak zawiązywały się ciche rozmowy, krzyżowały się spojrzenia i uśmiechy, kiedy niekiedy wybuchał nawet głośniejszy choć wnet przyzwitością i poszanowaniem dla miejsca stłumiony chichot. Strojne głowy dziewic falowały niby łan zasiany

kwiatami, pochylały się ku sobie i szeptały. Młodzi panowie lornetowali i przesyłali sobie wzajem znaczące uśmiechy, starsi zamieniali z sobą pocichu różne uwagi.

A między tem roztargnionem, rozbawionem gronem ludzi, którzy u stóp ołtarza nawet i na widok uroczystego i stanowczego jak śmierć obrzędu, nie byli zdolni skupić swego ducha i o zabawie zapomnieć, ja tylko stałam niema, przejęta, rozmodlona w głębi serca o szczęście młodej towarzyski, wzruszona aż do dna duszy tym aktem którego dokonywane się pierwszy raz widziałam, a który stał teraz przed memi oczami straszny wymawianą przysięgą, cudowny wiekuistym dwojga serc połączeniem, przenikający głęboką pieśnią organu, groźny obliczem Boga promieniejącem z ołtarza....

Nie byłam w stanie ani uśmiechnąć się, ani słowa wyrzec do nikogo i patrząc w koło siebie w tajnie serca mego myślałam, że nie chciałabym gdy przyjdzie dla mnie podobna chwila, stanąć u ołtarza z wybranym moim pośród tylu uśmiechów, szeptów, bogatych strojów i ciekawych oczu. Wolałabym, o! stokroć wolałabym, gdyby ślubny mój obrządek odbywał się w cichym jakim, małym i potulnym kościełku, abym wymawiając słowa wiekuistej przysięgi, widziała tylko obok siebie błogosławione twarze rodziców, i zamglony wzruszeniem wzrok najlepszej przyjaciółki, aby żadne szeptu ust obcych, ani szelesty sukien na wystawę włożonych, nie tłumiły pieśni poważnej, którą na czoła nasze zlewać będą z góry akordy organu, aby gdy wyjdziem z kościoła tylko słońce pogodne, spojrzęło na radość naszą i pozdrowiło nas na długą drogę szczęścia i walk wspólnych...

Tak marzyłam i mimowiednie podniosłam wzrok zamglony wilgocią. Naprzeciw mnie po drugiej stronie ołtarza stał hrabia Witold, niemy także zamysłony. On także nie śmiał się i nie rozmawiał, oczy trzymał utkwione w ziemię, a na spokojnej twarzy jego pobladał nieco w tej chwili, przesuwały się zadumy dojrzałego człowieka i marzenia młodzieńca o duszy głębokiej jak dno morskie.

Widząc to zapytałam siebie w duchu, dla czego w tem licznym zebraniu, dwoje nas tylko było z milczącymi ustami i zamysłonymi czołami? Dla czego gdy wszyscy koło nas śmieli się, żartowali i u stopni ołtarza nawet szukali dla siebie zabawy i wesołości, on i ja tylko staliśmy pograżeni w zadumie, marzeniu, cichej wewnętrznej modlitwie?

Czyliż tak podobni byliśmy do siebie? czy pragnienia serc i porywy umysłów do jednego, wspólnego wiodły nas ideału?

Znowu przecucie jakieś tajemnicze i niewyraźne podniosło przedemną różek zasłony przyszłość mającej i radością zastukało do serca.

Podniesionym i uroczystym głosem kapłan wymówił ostatnie słowa obrzędu, na chórach wyborna muzyka zabrzmiała radośnym hymnem *veni creator*, a lud rozstąpił się znowu, robiąc drogę dla przejścia świetnemu orszakowi.

Gwiazdy iskrzyły się złocisto na ciemnym sklepieniu zimowego nieba, śnieg skrzypiał pod licznymi tłoczącymi go stopami, gdy przed wrota kościelne zatoczyła się śliczna, kosztowna cała oblana światłem licznych latarni i błyszcząca od bronzów kareta. Do niej wsiedli państwo młodzi a para pysznych rosłych siwków rżąc i krzesząc iskry kopytami, porwała ich z miejsca przy ogólnem uwielbieniu zgro-

madzonych widzów. Co za powóz! co za konie! jaka liberja! szeptano w tłumie.

Pan młody bardzo bogaty być musi! szczęśliwa panna młoda! A jaki orszak weselny! ile tu karet! patrzcie sześć, ośm, dziesięć!! a drugie tyle koczów! Wspaniałe wesele! szczęśliwi państwo młodzi! Śród tych i tym podobnych szeptów wsiedliśmy wszyscy do powozów, które zagłuszającym turkotem kół i oślepiającym migotaniem latarni ruszyły w ulicę.

W salonach oświetlonych rzeźbiście grzmią już wyborna orkiestra. W godzinę po powrocie naszym z kościoła, zabawa ożywiona mnóstwem nowo przybyłych osób wrzała już i huczała na dobre.

Bawiono się, ja się nie bawiłam lub tańczyłam więcej od innych. W walcu i w mazurze, w kadrylu i polce, rozmawiając z rozróżnieniem i machinalnie, uśmiechając się do otaczających mnie osób, szukałam ciągle, szukałam nieustannie oczami jednej twarzy, jednej męskiej postaci. I spostrzegałam ją ale zawsze zdaleka tylko.

Hr. Witold nie tańczył a ja tańczyłam szalenie, nieustannie, porywano mię, zapraszano do wszystkich tańców jakie były i być mogą, otaczano coraz liczniej i coraz więcej, coraz więcej przez to oddalano od jednego w towarzystwie człowieka, do którego zbliżyć się, z którym rozmawiać pragnęłam. Widziałam jak wzrok jego ze spokojnym zamyśleniem przesuwiał się po tem kipiącym zabawą, błyszczącym barwami i klejnotami, głośnie, rozbawionem, bez pamiętnem kole, i jak pomijał twarz moją obracając się za nim niby słońce za słońcem, ani rozróżniając ją od tego mozajkowego, kameleonowego tła, śród którego zacierała się i nikła. A jednak, mój Boże! ja tak pragnęłam, tak bardzo pragnęłam aby on na mnie, wyłącznie na mnie spojrział temi pogodnemi, rozumnymi swemi oczami które jeszcze wówczas, kiedyś, na pierwszym balu na jakim w życiu mem byłam, w cieniastym parku mojej babki wlały w moją strwożoną duszę pociechę i uspokojenie!

Widziałam jak rozmawiał z rozmaitemi osobami, tak jak on nienależącymi do tanecznego koła, jak przechadzał się po przyległym salonie otoczony gromem męczyzn, którzy wyraźnie szukali go i pragnęli popisać się swoją z nim znajomością, jak stawał na progu sali w której tańczono i patrzył na wir walcu lub mazurów podskoki, ale ani razu, ani razu nie wyróżnił mię śród tłumu.

Oczy jego które z zajęciem na mnie spoczęły wtedy, gdy obdarzając go wiązanką mirtową wymówiłam bez rozwagi kilka słów co mi się prosto z duszy wymknęły, teraz gdy w tańcu rozwijałam wszystkie me wdzięki, gdy rumieniec gorączkowego życia rozpałał mi policzki, gdy od jednego do drugiego przechodząc tancerza w szalonym walcu lub wdzięcznym kadrylu ukazywałam całą dystynkcję ruchów tak powszechnie we mnie chwaloną, teraz kiedy sama czułam się piękną, wielbioną, ściągającą na siebie mnóstwo zachwyconych spojrzeń, teraz te oczy jego ślizgały się po mojej twarzy i sukni tak obojętnie jak po wszystkich innych twarzach i sukniach, tak przelotnie jak gdyby widziały we mnie tylko cząstkę obrazu na który patrzyły dla rozrywki, drobny kamyczek w mozaice tworzącej piękny dla oka lecz martwy dla myśli bukiet. Kilka razy w mazurze taki zwrot nadałam tańcowi, aby jak najbliżej przebiegł koło hr. Witolda, ale gdy tylko czułam się już blisko niego, brakowało mi śmiałości aby nań spojrzeć i spuszczałam oczy. Raz tylko je podniosłam i ujrzałam że wtedy, gdy tuż koło niego przebiegałam lekkim mazurowym taktom, gdy suknia moja niemal go dotknęła, on zajęty rozmową z innym jakimś mężczyzną, obejrzał się za mną tak zupełnie jak człowiek około którego frunął drobny

motyl, i zaraz wzrok obojętny przeniósł na inną, niedaleko przebiegającą parę. Poczulałam ból w sercu i rodzaj przykrego upokorzenia.

Gdy tak się ze mną działo, pomiędzy towarzystwem jak zwykle na podobnych tłumnych i licznych zebraniach, zawiązywały się znajomości, przyjaźnie, sympatje, powstawały projekta, krzyżowały się miłe i przykre wrażenia. W krótkim przestanku pomiędzy jednym tańcem a drugim, Helena usiadła przy mnie.

— Czy dobrze bawisz się dziś, Wacławo? spytała...

— Nie zupełnie, odpowiedziałam z pewnem gorzkim poczuciem, które daremnie siliłam się pokryć, i nie spuszczać oka z hr. Witolda który patrzył w stronę w której siedziałam, ale nie na mnie lecz na wiszące nademną i wyobrażające jakąś dziejową scenę piękne malowidło.

Helena spojrzała w kierunku moich oczu.

— A! wyrzekła z cicha: czy tak? Więc bardzo ci się podobała ta gwiazda pierwszej wielkości wedle wczorajszego powiedzenia Zeni?

Spojrzałam z niezadowolaniem na przenikliwą towarzyszkę.

— Moja droga, rzekłam, jesteś jasnowidząca, czytasz w myślach ludzkich!

— Twoje myśli łatwo z twych oczu wyczytać, odpowiedziała Helena.

— I ciekawam cożes z nich wyczytała?

— Smutne dla ciebie rzeczy, moja Wacławo, wyrzekła Helena która nagle spoważniała, wszakże nie pora na balu a do tego na weselu prawie o smutnych rzeczach. Więc powiem ci krótko ale węzłowato. Nie przypatruj się nazbyt człowiekowi który raz postawiony na piedestale już więcej go nie opuści, bo on na ciebie i uwagi nie zwróci a ty wyekspensujesz napróżno westchnienia swe i marzenia, a w najgorszym razie jeszcze i suchot dostaniesz. Oto moja rada.

W tej chwili zaczęto grać polkę i w mgnieniu oka byliśmy otoczone zapraszającymi nas tancerzami. Powstałyśmy obie ale ja zatrzymałam jeszcze na chwilę rękę Helenki i spiesznie szepnęłam jej na ucho.

— Powiedzże mi ty wszystko wiedząca istoto, dla czego on na mnie i uwagi zwrócić nie może?

Helena pochyliła się i również cicho odszepnęła.

— Bo tak jak my wszystkie wyglądasz na śliczniutką, zgrabniutką, wystrojoną lalkę, a jego o ile mi się zdaje lalki nie zajmują!

Po tych szybko zamienionych słowach puściłyśmy się w taniec.

O mój Boże! czyliż ludzie uwierzą w to że piękna, młoda, admiirowana panna tańczyć może skoczną polkę, z tłumem bolących myśli cisnącym się do jej uwiecznionego kwiatami czoła, z sercem zamierającym z żalu i upokorzenia pod stanikiem z atlasu i koronek?

Zmęczona tańcem z wielkim trudem wydobyłam się z koła młodych męczyzn, którzy mię otaczali i dla wypoczynku siadłam nieco na stronie w samych prawie drzwiach prowadzących do przyległego gabinetu. Tuż prawie za memi plecami rozmawiano.

— Mój drogi, mówił głos kobiecy w którym poznałam głos Zosi, mój drogi, dla czego ustawicznie mię prosisz abym tańczyła z nim i była dla niego grzeczną? on mi się tak niepodoba.

— Ależ to taki porządny człowiek, moja Zosiu, odpowiedział inny głos męzki a dobrze mi też znajomy, a przy tem wiem z pewnością że zakochał się w tobie szalenie.

Zdawało mi się że Zosia westchnęła cicho.

— To mię nic nie obchodzi Lubomirze! szepnęła.

— Jakto! zawołał brat, nie obchodzi cię to że zraniłaś czyjeś serce? Że zatrzałaś komuś spokojność,

że ktoś ściga cię nieustannie wzrokiem pełnym miłości...

— Ależ ja tego wszystkiego nie widzę, mój Lubomirze, zaprotestowała Zosia głosem w którym była zwykła jej od pewnego czasu bierność i apatja.

— Nie widzisz! oburzył się brat, ale ja widzę i żaluję go z całego serca i dla twego własnego szczęścia pragnę abys porzuciła tę, daruj mi że tak powiem, występna obojętność na cierpienia cudze a była bardziej uprzejmą dla człowieka, który ze wszech miar zasługuje na twoje względy!...

Pałałam ciekawością dowiedzieć się, kto był ten czyją appologję z takim zapalem wygłaszał przed siostrą pan Lubomir.

— I czegoż nakoniec chcesz odemnie Lubomirze? wymówiła po chwili milczenia Zosia, słabym swoim i zmęczonym głosem.

— Widziałem że parę razy odmówiłaś mu ręki do tańca, chcę więc abys teraz z nim tańczyła, odpowiedział brat.

— Wiesz dobrze Lubomirze, że zrobię zawsze wszystko co może tobie sprawić przyjemność, ale czyliż pójdę sama go szukać i zapraszać do tańca?

— Któż o tem mówi! zawołał brat, ja ci go zaraz przyprowadzę, czy dobrze?

— Jak chcesz, obojętnym tonem odpowiedziała Zosia, a jednocześnie z za portjery wysunął się pan; Lubomir i postąpiwszy kilka kroków rozglądał się po sali. Sledziłam go spojrzeniem bo niezmiernie byłam ciekawa, kogo też tak energiczną okrywa protekcją. Ale jakież było moje zdziwienie gdy pan Lubomir skierował kroki swe w stronę w której stał p. Henryk S. i wzięwszy go pod ramię, z uprzejmym uśmiechem powiódł do siostry.

Pan Henryk więc to był tym porządnym człowiekiem szalenie rozkochanym w Zosi, któremu ona zraniła serce, odebrała spokojność, który ją ścigał oczami pełnymi miłości i t. d. i t. d. O, deklamator, pomysłalam, o czuły brat i bohaterki rycerz cnoty, który służy przed siostrą takiego jak p. Henryk człowieka, i stara się ku niemu skłonić jej serce dla tego zapewne że... to dobra partja!

Zosia z martwym wzrokiem, z apatją na twarzy zwieszona na ramieniu p. Henryka tańczyła polkę. Lubomir stał w progu i patrząc na tańczącą parę melancholijnym gestem odrzucał sobie włosy z nad czoła...

Spojrzałam na niego prawie z pogardą. Czoło mi zaszało rumieńcem wstydu na myśl, że była chwila w której zajmowałam się tym człowiekiem, w której poświęcałam mu marzenia moje, w której uwierzyłam w pozy jego i tirady.

W tej chwili poczułam że ktoś mię wziął za rękę. Była to Helena która zmęczona tańcem usiadła przy mnie.

— Spojrz! rzekła po cichu i wachlarzem wskazała na drugi koniec salonu. Spojrzałam w kierunku jej wachlarza i zobaczyłam Zosię, która po tańcu usiadła obok swjej wujenki. Błada, chuda, o surowej i dumnej twarzy opiekunka, poprawiała pieszczołtliwie jej włosy i mówiła coś do niej z żartobliwym wyrazem, niemilo odbijającym od ogólnej oschłości jej fizycznej. Za dwoma paniami stał wuj Zosi otyły i marsowaty człowiek, i poufale trzymając p. Henryka za guzik od fraka rozmawiał z nim z niezmierną uprzejmością i ożywieniem.

— Czy widzisz tę grupę? szepnęła mi do ucha Helena, oto brat, wuj i wujenka łapią bogatego p. Henryka na męża dla Zosi i kładą jej w głowę, że wyjść za niego powinna. On też niedaleki od tego bo wie że schwyci wcale piękny posażek...

— Ależ to okropne! zawołałam. Jaka by też była z nich para! Zosia łagodna, poetyczna, marząca, on chciwy bez serca, egoista...

— Tra la la! zaśmiała się Helenka; ale Zosia ma siedemnasty rok i doświadczona niedawno boleścią, w dziecienną niemal rzuciła ją bierność a p. Henryk bogaty.

— Ona za niego nie pójdzie! wyrzekłam z przekonaniem. Helenka pokiwała głową.

— Moja droga, wymówiła, ona nie ma ani takiej energii jak ty i ja, ani takiego sprytu, ani takiego pragnienia ideału, ani takiej pobłażliwej jak są nasze matki. Ją namówią, zrobią z nią wpływami i prozbami wszystko co zechcą, a brat będzie miał największy udział w tem morderstwie, bo Zosia kocha go i wierzy w jego zacność i prawość jak w Ewangelję...

Zaledwie Helenka wymówiła te wyrazy, gdy mnie i ją pochwycono do tańca.

Około północy umilkła orkiestra, a natomiast rozlały po obszernej sali melodyjne tony skrzypiec z towarzyszeniem fortepjanu. Rozpoczął się koncert mający urozmaicić i uświetnić zabawę.

Lecz niestety! ani brzmiała i głośna uwertura z Wilhelma Tella, ani słodkie i tęskne marzenie Schumana jakkolwiek wcale dobrze wykonane, nie mogły w licznej a rozbawionym zgromadzeniu ogólnego sprawić milczenia. Słuchano widocznie przez grzeczność ale co chwila w różnych stronach dawały się słyszeć szepty i śmiechy tłumione, a gdzieś tam ukazywały się fizjonomie przeciągnięte, znudzone i widocznie żalujące tańca.

Spiew lepsze miał nieco powodzenie, nakoniec przyszła kolej na moją muzykę, mającą zakończyć tę niezbyt pożądaną towarzystwu zabawę.

Usiadłam przy fortepianie a przy mnie stanęła Helenka, która podjęła się odwracać mi karty. Przedemną na pulpicie leżały moje dawne ulubione sonaty Beethovena, które długo zaniedbane spoczywały gdzieś na etażerze w pyle i zapomnieniu, a które jednak kierowana smakiem artystycznym i dawnym zamiłowaniem wybrałam była na dzisiejszy popis.

Powiodłam wzrokiem po salonie. Kilkadziesiąt osób zwracało ku mnie ciekawe twarze i oczy. Kilkadziesiąt innych rozmawiało półgłosem w najlepsze z lornetkami na oczach lub wachlarzami przy ustach. Ale mnie mało obchodziła uwaga jednych i lekceważenie innych, o kilkanaście kroków odemnie, oparty o róg fortepjanu stał hr. Witold, nie patrzył na mnie, ale z postawy i twarzy można było wyczytać, że z uwagą oczekiwał gry mojej.

Uderzyłam pierwsze akordy, te wspaniałe, pełne akordy, podobne do wykutych z marmuru posągów lub do wołań wychodzących z weszbraną pierś olbrzyma. Jak echo nieśmiało i dalekie odpowiedziało im kilka innych cichszych i smętniejszych, a potem klawijatura cała od najgłębszego bassu do najwyższego wiolinu, odezwała się gammą tonów szybką, gorącą, zmienną a jednak jednolitą, przepaścistą jakąś, pełną jęków, westchnień, śmiechu i szeptów miłośnych i pereł dźwięcznie uderzających się wzajem w wirze zawrotnym.

Straciłam pamięć wszystkiego co mię otaczało; duch mistrza w mgnieniu oka orzucił mię całą napowietrznym płaszczem melodji, i ducha mego uniósł w wysoką krainę sztuki. Czułam bicie serca śpieszne, gorące, tętna zapału pulsujące w skroniach, po głowie mojej przeciągały szlaki myśli promieniste jak z gwiazd utkane, te szlaki które w dzieciennych jeszcze witały mnie latach a potem szalonym bezporządkiem światowego życia odegnane, wracały razem z muzyką dawną, ukochaną, tak długo odepchniętą i zarzuconą... przez wzgląd na ludzi co ją zrozumieć nie byli zdolni.

Grałam i cała dusza moja przeszła w ręce, i ręce moje tonami które wywoływały z klawiszów, opowia-

dały historję mojej duszy. Widziałam siebie dziewczecią naiwną, wierzącą, w półdzieckim ciekawem swiata i jego radości, słyszałam głos swiata tego w tajemniczych groźnych akordach bassu, a tymczasem nuty wjolinu ciche i podniosłe, snuły się jak marzenia młodego serca, jak modlitwa szeptana z trwożą i rozkoszą, jak miłość dla gwiazd i tego Boga co króluje nad niemi. Nagle od strony bassu huczą i suną się nuty złowieszcze, jak grmot przybywający zdaleka, coraz większej nabierają mocy, biegną, dwoją się, przemieniają w dzikie i surowe akordy i jak stado orłów spuszcza się z pod obłoków na gromadkę śnieżnych gołębi, tak spadają na rzewną pieśń porywając ją z sobą w odmet burzy, gromów, błyskawic i tajemniczych, podziemnych zda się pieśni, co rytmem posępnym wydobywają się z samego dna harmonji splecionej jak najdziksze fantazje, głębokiej jak przepaścisty duch mistrza twórcy. I oto widzę, widzę bo mi obraz ten na orlich skrzydłach swych przynosiły burzliwe tony bassowe, widzę jak wiara moja leży rozbita ze skrważoną pierś niby gołąbka zraniona, jak modlitwa moja ucieka odemnie pod niebo na które patrzeć zapomniałam, jak miłości moje bledziuchne niby kwiaty sztuczne jedna po drugiej chyła się do mogiły... Oderwałam na chwilę ręce od klawiszów bo skończyła się pierwsza część wielkiej sonaty, druga zaczynała się od pieśni przeciągłej, monotonnej, podobnej do skargi zmęczonego serca. Każda nuta zdawała się tam być lżą spadającą z oka żalem spieczonego... czułam lży zwolna wzbierające w mej pierś... A potem przyszły akordy nagłe, potężne, szerokie jak obudzenie się ducha ze snu zmęczenia i słabości, jak niespokojne, pełne pragnień i obaw pytania rzucone w twarz swiata, pod nogi temu zyciu co w lżach się kapało... I razem z akordami temi duch mój zapytywał, kędy podziła się jego pierwotna, dziewczęca wiara i niewinność? Jakie wichry porwały i rozniosły marzenia jego o różowych rąbkach? Gdzie jest kraina piękności bez skazy? kędy siedlisko ideału, którego obraz tkwi w duszy z innych przez nią przyniesiony światów?

Nie było odpowiedzi, znać mistrz tworząc swe arcydzieło nie znalazł jej w sobie i rozmodlił się tylko potężnym hymnem nadziei że znajdzie ją kędyś, tam może w innych swiatach skąd wziął pierwotną utraconą dziś wiarę swoją i hymn ten zakończył cichemi, rozwianemi tony, niby zawieszając go między ziemią i niebem, które wygrać miały ostatnie, niedopowiedziane jego akordy....

Skończyłam i drżące od wzruszenia ręce opnieciłam na suknię. W salonie głucho panowało milczenie, grą moją w której wyśpiewałam samą siebie, zdobyłam uwagę roztargnionych słuchaczy.

Przez kilkanaście sekund nikt żadnego nie uczynił poruszenia, Helenka nawet stała obok mnie jak przykuta do miejsca, szeptać tylko: cudownie Wacławo, cudownie!

Podniosłam oczy i przez mgłę wzruszenia która je przysłaniała, zobaczyłam naprzeciw siebie tego pięknego, szlachetnego człowieka, którego postać i imię snuły się przedemną nieustannie jak błyskawice ogniste na tle melodji, którą wygrywać przestałam.

Patrzył na mnie! Nakoniec patrzył na mnie! A oczy jego tak spokojne i niezmacone zwykle, teraz utkwione w mej twarzy ciskały iskrami i mieniły się grą wzruszeń ruchomą a gorącą. Byłam pewna że zrozumiał mię, że za pośrednictwem muzyki odgadł tajnie mojej istoty, pojął iż nie byłam ustrojona lalką. Mówiła mi o tem błądząc jego wyniosłego czoła, ogień jego zwróconych ku mnie oczów, uśmiech jego ust surowy i rzewny zarazem...

Co czułam wtedy tego już dziś ani pamięcią objąć ani w słowa oprawić nie zdołam.

Wszystkie uprzednie wzruszenia i uczucia moje zniknęły w obec tej chwili, jak mary wysnione nocą w obec rannego słońca. Zdawało mi się, że dotąd nie żyłam ale śniłam tylko, i że w tej chwili dopiero budziłam się do prawdziwego życia. Była to jedna z tych krótkich jak sekunda chwil złotych, a których wspomnienie idzie z nami aż nad brzeg mogiły, aby nam świecić jeszcze w ostatniej ciemnej godzinie. Była to jedna z tych chwil w których dwie dusze rozdzielone przepaścią zda się nieprzebytą ale przeznaczone dla siebie, spotykają się na mgnienie oka i przysięgają sobie wiekiustą wierność wspomnienia....

Nie spuszczaając oka z mej twarzy postąpił ku mnie: jednocześnie nie zależną odemnie siłą poruszona, podniosłam się z siedzenia i uczyniłam parę kroków ku niemu, tak jakbym chciała zejść się z nim na polowie drogi....

Ale ah! między mną i człowiekiem ku któremu wiodł mię pociąg nieprzeparty, niewypowiedziany, stanęła żyjąca, nieprzebyta barykada złożona z czarnych fraków i białych krawatów, które gdy tylko minęło pierwsze wrażenie wywarłe na słuchaczy, zerwały się ze wszech stron i otoczyły mię ciasnym kołem.

Potoki komplementów i słów kwieciejstych sypały mi się pod stopy, grady zachwyconych i płomienistych spojrzeń obsypywały mą głowę i coraz więcej ludzi tłoczyło się około mnie, i coraz większy tłum i gwar, zatapiał mię swą szumiącą falą... Hrabia Witold nie próbował nawet przebić tej żyjącej zaporę i cofnął się do przyległego salonu.

Na widok ten doświadczyłam takiego poczucia, jak gdybym nagle została oblaną zdrojem zimnej wody. Serce zamarło we mnie, niezmierny żal mię ogarnął.

Ale w tej chwili orkiestra zahuczała kadrylem, bal zawrzał na nowo a na balu precz z głębokimi wzruszeniami, precz z rozważami smutnemi! Trzeba tańczyć, trzeba bawić się, trzeba słuchać komplementów i odpłacać je dowcipnemi frazesami w których jest wszystko prócz dowcipu i sensu, trzeba uważnie tańczyć kadryla aby każdy krok był dystyngowany i przyzwoity, trzeba chronić się zamyslenia bo ono daje powód do komentarzy, trzeba mieć usta uśmiechnięte bo inaczej osądzą cię żeś dumna albo domysła się żeś zakochana!

Bawiłam się, tańczyłam, słuchałam komplementów, odpowiadałam na nie dowcipami, przechadzałam się w kadrylu z dystynkeją i gracją, uśmiechałam się, znajdowano mię piękną i bardziej zachwycającą niż kiedy.

W mazurowej figurze postawiono na środku salonu krzesło, a ja zasiadłam na niem jak królowa otoczona poddanymi: kilkunastu młodych mężczyzn stało w koło mnie, ze spojrzzeniami w moją twarz utkwionemi, z uśmiechami na ustach oczekując aż podrzucę w górę szmatkę batystu którą trzymałam w ręku. Szczęśliwy kto ją pochwyty! z tym tańczyć miałam!

Długo czekali. Na progu salonu stał hr. Witold i patrzył na mnie, ale już nie tem spojrzeniem co wprzód tylko jakimś smutnem, zawiedzionem, takim jakim spogląda człowiek co sądził, że ma w ręku djament a zobaczył iż to było szkieleto farbowane.

Że ściśniętem sercem podrzuciłam w górę chusteczkę. Pochwytył ją pogromca serc p. Aleksander i z tryumfującym spojrzeniem podał mi rękę.

Kiedy w mazurze pobiegłam około drzwi wiodących do sąsiedniego salonu, spojrzenie hr. Witolda prześliznęło się po mej twarzy i postaci, takie obo-

jętne, tak spokojne jakim bywa spojrzenie człowieka co myślą przebywając gdzieśindziej, machinalnie ściga lot fruującego w pobliżu motyla.

Dokończyłam mazura ze łzami które kryłam pod powieką a które mi paliły źrenice. Doświadczałam takiego poczucia jakbym utraciła szczęście, którego promienne widzenie na mgnienie oka zajaśniało przedemną.

O mój Boże! czyliż ludzie uwierzą w to, że młoda, piękna ogólnie uwielbiana panna, tańczyć może mazura z tłumem bolących myśli tłoczącym się do jej uwiecznionego kwiatami czoła, z sercem zamierającym z żalu pod stanikiem z atlasu i koronek?

I więcej już ani razu nie spostrzegłam hr. Witolda. Kiedy po skończonym mazurze zapytałam Emilki czy go gdzie nie spostrzega: odpowiedziała mi, Odjechał!

— Odjechał! pomyślałam z wielką boleścią, kiedyż go więc zobaczę? może już nigdy! Zniknęło jasne widzenie, rozwiął się urok, czarowny, dusze nasze spotkały się z sobą na mgnienie oka aby się rozejść.. na wieki!

Głowa mi bolała, łzy gorącą falą tłoczyły się do oczu, nie mogłam dłużej udawać, nie mogłam dłużej tańczyć i śmiać się i słuchać komplementów, poszłam do mojej matki z prośbą abyśmy odjechać mogły.

Wpół godziny potem mimo próób, nalegań i wyrzutów opuściliśmy towarzystwo.

LVI.

Trzecią godzinę po północy ogłaszały zegary. W pięknym pokoju opływającym w bladą-różową barwę, na toalecie zastawionej błyszczącymi flakonami, dziesięć świec paliło się w złożonych kandelabrach, migocące, żółtawe światło rzucając na cztery pyzate aniołki trzymające wieniec z róż na suficie. W rogu pokoju, na atlasowych poduszkach sofy leżała w znękanj postawie młoda istota, ubrana w atlas, krepę i koronki, ze spletanymi lokami opływającymi obnażone ramiona, z wieńcem drobnych róż na głowie, ze sznurami bogatych pereł na szyi. W oczach jej okrążonych sinemi kołami zmęczenia i gorączkowych wzruszeń, palił się suchy ogień, blade czoło kłoniło się w dół przytłoczone ciężarem upokorzenia i smutnych rozważ, załamane ręce martwo leżały wśród puszystych zwójów śnieżnej krepy.

I któżby powiedział, że tą zmęczoną, upokorzoną, w bolesnych dumaniach zatopioną istotą, była młoda, piękna, za bogatą uważana panna, o której rękę starali się najbogatsi młodzieńcy, przed którą padali czołem najslawniejsi pogromcy serc niewieścich, której powodzenia zazdrościły najpiękniejsze dziewice, której tryumfalny rydwan ciągnęli najliczniejsi niewolnicy powiewając przed nią kadzielnicami pochlebstw, usypując dla jej stóp drogę kwiatami salonowych hołdów?

I któżby wierzył, że tą biedną istotą zmęczoną fizycznie i moralnie, cierpiącą, upokorzoną, do głębi serca smutną, byłam ja, ja która przed godziną wróciłam ze świetnego balu, ja która potrzebowałam tylko wymówić jedno słowo, aby jutro zapaliła się dla mnie złożona pochodnia ślubnego hymenu, wyciągnąć tylko rękę aby pochwycić ten czarowny sen wielu dziewcz jakim jest świetna partja. A przecie — tak było.

Byłam do głębi serca smutną i do dna duszy — upokorzoną. Otworzyły się dziś do reszty oczy moje i ujrzałam jasno — kim byłam. Szlachetna postać hr. Witolda, ta postać którą widziałam wciąż przed oczami, obłana blaskiem ideału stała przedemną jako żal gorzki i ciężki wyrzut. Jednego człowieka spotkałam wśród ludzi tłumy w którego oczach był spokój i prawda, na którego czole leżała zacność,

którego życie i czyny czcili nawet ci, co od podobnych sami byli dalecy i ten mną pogardził, i ten spojrział na mnie takim spojrzeniem, jakim ktoś zamyślony spogląda na lalkę którą bawią się dzieci.

Więc kimże byłam? Więc na jakąż drogę weszłam?

Więc jakąż uczynił mię ten świat, w którego objęcia rzucałam się z takim upojeniem, z takim szałem z taką radością? Więc czemuż nareszcie był ten świat co wygląda tak pięknie, co tak błyszczy, tak migocze zmiennością barw, tak śpiewa głosami syren a tak brzydko, tak smutnie z młodej dziewczycy o niewinnej jak biała karta duszy, o myśli pragnącej wszystkiego co dobre i wielkie urabia lalkę, motyla, cacko niezdolne przykuć do siebie oczu myślącego człowieka, niegodne jego uczucia, jego serdecznego pociągu, uścisku jego dłoni uczciwej i pracowitej?

Więc czemuż jest ten świat, co z czoła dziewczycy zeiera wszelki ślad powagi i podniosłości poetycznego serca, co w oczach jej gasi blask z którego by ludzie gorącą wyczytali duszę, co na usta jej kładzie zalotne uśmiechy, od których uciekają zani i poważni, i strojąc ją w półski odziera z promieni po których poznają się czyste duchy?

Ochłania! szepnął nademną głos jakiś złowieszczy.

Ochłania w której stroją się, zalecają się, rujnują się, tańczą, bankrutują moralnie i materialnie, kłamią na wyścigi, oszukają, z próżniaczo założonemi rękami czekają szczęścia wyobrażonego w postaci złotego bałwana, biją czołami przed cielcem ulanym z błyszczącego kruszcu, bawią się miłością, żartują z czasu który na groźnej kosie swj przynosi karę i pokutę, nie znają Boga królującego nad gwiazdami, nie rozumieją wielkiej myśli jego, która nie przenika do nich przez grubą warstwę próżności i próżniactwa jaką są obleczeni!

A ja w tój ochłani byłam jako ptaszę, któremu przeznaczono być orłem rozkochanym w słońcu, a które stało się krukiem żadnym błyskotek, jako zbłąkana owca która szukając zielonej łąki co tak pięknie uśmiechała się do niej, zagłuszona wrzawą i zmęczona daremnm pragnieniem, wraz ze swem stadem rozciąga się na zgnilj słomie, na której miękko leżeć i karmi się zwiędłemi kwiatami których zapach truje ją zwolna!

A jednak nie byłam złą, bo pragnęłam z całej duszy ujrzeć dobroć i wielkość, a kędy zdawało mi się że ją ujrzałam, tom ze czeią chyliła czoło i zdwajały się serca mego bicia; nie byłam głupią bo głupi o nic nie pytają a ja ustawicznie niebu i ziemi, światu i sobie zadawałam pytania; nie byłam zepsutą bo brzydziłam się zepsuciem innych i rozpacz mię zdejmowała na myśl, że ktoś za taką uważać mię może.

Więc dla czegoż on posadził mię o głupotę i zepsucie? dla czego wziął mię za lalkę lub motyla? dla czego odwrócił odemnie swoje spokojne, rozumne oczy, które kiedyś tam w cienistym parku mój babki, pod stropem gwiazdzistego nieba wlały w mą wzburzoną głowę ufność i uspokojenie? Dla czego mię nie pojął? dla czego pod zwierchnią powłoką motyla nie odgadł duszy człowieczej spragnionej miłości i cnoty; pod porcelanową skorupą lalki nie odczuł serca żywego, które rwało się ku niemu a rwało się nie dla tego że miał miliony i imię wstawione, ale dla tego że pociągała je nie niewidomej czarodziejskiej sympatji, że wyczytało na jego twarzy i w jego postaci te litery ducha, których daremnie gdzieindziej szukało po świecie?

Pochyliłam twarz na dłoni i płakałam gorących łez potokiem, płakałam ze wstydu, z upokorzenia z żalu po znikłym błyskawicznym zjawisku szczęścia, po tój duszy bratniej z którą spotkałam się w jednym spojrzeniu, na jedno mgnienie oka a któ-

ra odbiegła mię na wieki, nie poznawszy swj siostry oszpeconej maską w którą ją świat ustroił.

A gdy tak płakałam z wewnątrz mnie, z samego dna mego ducha podniósł się głos surowy i smutny i mówił do mnie. Czy jesteś pewną tego że cię zapoznano? że stała ci się krzywda i niesprawiedliwość? że nie jesteś w istocie tem czem się być wydajesz to jest: motylem i lalką? Porachuj dni swoje od tego pierwszego w którym wstąpiłaś w świat dla ciebie nowy, i pomyśl co czyniłaś od każdego wschodu do zachodu słońca, od każdego południa do każdej północy? Na czem ci czas ten schodził? jak ci godziny płynęły? Czy choćby jedną łzę otarłaś z cudzego oka? czy choćby jednemu bliźniemu podałaś rękę pomocną? czy choć do jednego przemówiłaś słowem pociechy i chrześcijańskiej miłości, która jest moralną jałmużną? Może przybyła ci do głowy myśl jaka wzniosła zdobyta w godzinie pracy i rozmyślań? Może wezbrało ci kiedy serce jakim szerokim pięknem uczuciem, coby nie ciebie samą miało na celu ale tysiąc braci na jednej z tobą ziemi żyjących, cierpiących? Może walcząc z sobą i ludźmi, z trudem obalając przeszkody pięknym jakim postępkiem albo ciężką jaką pracą, zbliżyłaś się choć na krok jeden do tego Boga co króluje nad gwiazdami, a którego myśli wielkiej uczy się ojciec twój przez całe pracowite i zacne swe życie? Nie. Ty nic z tego nie zdobyłaś. Ty dnie serca przeżyte liczysz na suknie w które się stroiłaś, na bale wśród których świetniałaś, na walce które przetańczyłaś, na zalotne uśmiechy któremi wodziłaś za sobą rój próżniaków i głupców, na samolubne, puste marzenia, któremi kołysałaś swoją głowę siedząc przed zwierciadłem i patrząc, jak ci służebna piętrzyła i uplatała włosy nad dymami próżności omglonem czołem. A teraz, dziecko samolubne, próżniacze, rozbawione, rozmarzone, pragniesz aby człowiek który ma za sobą całe lata pracy i zacności, cały szereg szlachetnych dokonanych czynów, człowiek na którego barkach spoczęła spuścizna imienia wielkich przodków jako powinność wiecznej godności i wiecznej pracy, aby człowiek ten spokojny, poważny, rozumny, upadł przed tobą na kolana, uderzył czołem przed twemi pięknymi oczami, zawisł na twoim zalotnym uśmiechu i wprzągnął się do twego tryumfalnego rydwanu razem z Donżuanami, Almawiwami, Dafnisami, głosnemi a pustemi dzwonami i wszystkimi tego rodzaju głupcami i passożytami którzy go ciągną? Co uczyniłaś, co zdobyłaś, w co tak pięknego i zacnego ubrałaś się, aby móż zwrócić na siebie oczy jego, które przywykły obejmować na świecie szeroką i daleką przestrzeń? Co masz w sobie takiego aby zdobyć jego szacunek, jego współczucie serdeczne, jego ufność w niepokalaną czystość twj duszy? Nie!

Taką jaką jesteś możesz podobać się tylko Donżuanom, pogromcom serc, obłudnym deklamatorom którzy uwielbiają w tobie piękność twj cery, zgrabność twj kibici lub domniemaną wielkość twego posagu. Nigdy człowiek który pracuje myślą i szlachetne cele życia postawił przed sobą, nie ukocha istoty próżnej, błyskotliwej, zakochanej w sobie tylko i swoich sukniach, choćby od Aniołów zewnętrzna pożyczyla ona piękność. Nigdy człowiek co okiem pełnem miłości ogarnia kraj swój rodzinny, pracuje dlań, roi o pięknych czynach i zasługach, nie poda ręki na wieczną wędrówkę płochj dziewczycy od stóp do głowy światowym pokrytj pokostem, dla której salon ojczyzna, lustro najwznioślejszą idea, towarzyskie sukcesu polem czynów i zasług, szafa ze strojami ozdoba życia a celem jego... dobra partja!...

Kiedy surowy głos mój wewnętrzny wymawiał ten ostatni wyraz, wzdrzygnęłam się całym ciałem i zawołałam z boleścią. O, jam nie taka występna

i płocha! Życie moje przechodziło w próżniactwie i wśród mglistych dymów próżności, nie uczyniłam dobrego, niczego nie nauczyłam się, bawiłam się, upajałam narkotykiem pochlebstw, szalałam tańcem i zabawą ale zarazem, Boże mój, pragnęłam, rwałam się duszą w krainę ideałów, nigdy żadna niska rachuba nie znalazła miejsca w myślach mych ni sercu, o zagadkę życia, o drogi i cele jego pytałam niespokojnie gwiazd niebieskich i ludzkich twarzy. Ale wzięto mnie za rękę i poprowadzono, kędy wskazano mi drogę, tamtędy poszłam. Nikt nie odpowiedział pytaniom moim, nikt przeczuć serca nie sprawdził, zbłąkałam się w tym świecie o ścieżkach krętych jak manowce, o obrazach zwodnych jak miraża a teraz... czyliż mam już na wieki w oczach zacnych i uczciwych zostać lalką i motylem? Czyż zawsze człowiek, do którego pocuję pociąg serdeczny, w którym ujrzę pragnień i przeczuć moich sprawdzenie, odwracać będzie ode mnie oczy z litością albo pogardą!...

Tak myśląc zaniosłam się płaczem serdecznym.

Z piersi mojej podnoszonej wzmożonemi łkaniami wyszedł znowu głos poważny i surowy, i znowu mówił do mnie:

— Szczęście prawdziwe, szczęście pocziwe to ten kwiat zaczarowany o którym mówi bajka, że iść do niego trzeba daleko i długo, a po drodze staczać waliki, krwawić stopy, postępować w pocie czoła i niepokojach serca a wytrwać aż do kresu. Po szczęście prawdziwe, po szczęście uczciwe, nie można iść wygodną ścieżką kwadratami woskowanej posadzki zasłaną, kwiatami pochlebstw usypaną. Na szczęście prawdziwe, na szczęście uczciwe, zasłużyć, zapracować trzeba. Tyś go jeszcze nie warta, bo w krepie i koronkach, z kwiatami nad czołem, z zalotnym uśmiechem, z dymami próżności w głowie dojść można tylko do okłasku głupców i do świetnej partji. Ani w jednych ani w drugiej nie leży szczęście prawdziwe i pocziwe. Pierwsze przebrzmia bez echa nim słońce wnijdzie po nocy balowej, druga da wiele pieniędzy a mało spokoju, bogactwo materialne a moralną nędzę.

Szczęście prawdziwe i uczciwe istnieje na wysokościach, na które z trudem wspinać się musi ten kto go żądny. Tyś od niego bardzo daleka. Ale dla tego że cię wzięto za rękę i poprowadzono, a kędy wskazano ci drogę tamtędy poszłaś, za to że w sercu i myśli twojej nie powstała nigdy żadna niska rachuba, za to że pragnęłaś, pytałaś, tęskniłaś i szukałaś prawdy w gwiazdach niebieskich i po twarzach ludzkich, ja co w tej chwili przemawiam do ciebie, ja co jestem sumieniem twojem kładnę ci w piersi przeczucie niewygaste które mówić ci zawsze będzie, że szczęście prawdziwe zostanie kiedyś twoim udziałem. Ale wprzód musisz ochrzcić się pracą, wyrosć cierpieniem, zmęźnić w walkach. A gdy kiedyś, nie prędko może, czoło twe oderwane od wszelkich próżności rozgorzeje wielką miłością dla cnoty, pracy, ziemi ojczyźstęj, milionów braci którzy na niej cierpią i walczą, gdy za tobą ustawi się szereg walk przebytych, dobrych czynów dokonanych a przed tobą stanie cel życia szlachetny i zacny, wtedy człowiek dla którego pocujesz pociąg serdeczny, w którym ujrzysz sprawdzenie pragnień twoich nie odwróci już od ciebie oczu z litością lub pogardą, nie ujrzy w tobie lalki ni motyla, ale uzna cię kobietą godną jego miłości i weźmie cię za towarzyszkę zacnego swego żywota. Przeczucie to będziesz nosić w sobie jako pociechę, nadzieję, gwiazdę w ciemnych chwilach świecąca, a sprawdzenia jego szukaj w perspektywie drogi, którą przebyć musisz w przód nim godną jego się staniesz!

Tak przemawiało do mnie sumienie, do takiego

wyniku doprowadził mnie płacz mój, upokorzenie moje, boleść moja.

LVII.

Od dnia wesela Zeni rozpoczęło się dla mnie to życie bezbarwne, denerwujące ciało i ducha jakie wiodą zwykle młode światowe panny odarte ze złudzeń, zawiedzione w swych nadziejach, zmęczone zabawami które straciły dla nich urok nowości, rozczarowane.

Suknie i biżuterje przestały mię bawić bom się niemi przesyciła, komplementa mężczyzn i hołdy ich przestały mię radować, bo nie wierzyłam w ich szcerość i nie miałam ani szacunku ani sympatji dla tych co mię niemi osypywali, piękne salony mojej matki i śliczny mój gabinet blade różowy, z rozkoszną alkwą w głębi straciły dla mnie powab, bo oczy moje przywykły do ich piękności i bogactwa, niczem się już nie zachwycaly, a pamięć przynosiła wspomnienie ciężkich chwil jakie wśród nich przeżyłam, i owęj mary ruiny i nędzy bliskiej która ukazywała się mię w każdym kątku pysznego mieszkania w postaci nagiej, drżącej istoty z której opadała złocista szata zezerniałemi od rdzy i łez łachmanami.

Co rano budząc się patrzyłam na dzień, który się zaczynał bez nadziei ni zapału, bez radości ni porywu. Słuchałam jak zegar wygłaszał godziny z obojętnością osoby, która niczego nie spodziewała się i niczego nie oczekuje niekiedy, z niecierpliwością właściwą tym, co niezadowolony z dnia dzisiejszego, pragną aby czas jak najprędzej upływał, bo mają nieokreśloną nadzieję, że przyniesie im może lepsze, ponętniejsze jutro.

Bezczynność ciążyła mi a nie wiedziałam dobrze co bym czynić mogła. Nic nie umiałam, niczego mi nie brakowało z codziennych potrzeb życia, wszystko przychodziło do mnie gotowe, zbyt kowne, służyło mi na każde mgnienie oka lub skinienie palca. Całymi godzinami leżałam w moim pokoju na aksamitnych poduszkach sofy z romansem francuskim w ręku, którego treść gorąca i fantastyczna rozmarzała mię ale nie uspakajała, chłonoła jeden szereg godzin aby na drugi większą jeszcze i dotkliwszą rozlać pustkę. Siadałam do fortepianu ale myśl moja, rozstrojona i znękana rzadko odnajdywała w melodji mistrzów dawne zachwyty i szlaki gwiazdziste, najczęściej zaś przy dźwiękach instrumentu ogarniał mię taki żal nieokreślony a dotkliwy! takie czułam osłabienie w całym fizycznym i moralnym ustroju, że ze łzami w oczach i bladym czołem wstawałam od instrumentu i krokiem powolnym a słabym wracałam do mego ustronnego pokoju, aby rzucić się tam znowu na sofkę i z otwartymi oczami pograżyć się w sen pełen przykrych wspomnień, niewyraźnych przeczuć i marzeń, albo w inny a stokroć przykrzejszy sen biernej bezmyślniej apatji.

I zwolna, stopniowo zbliżało się do mnie to straszne widmo znudzenia, które prędkiej czy później ogarnia sobą beczynne młode istoty, psuje im serca i na błędne prowadzi drogi.

A gdy często i długo różnym z tego powodu oddawałam się rozmyślaniom, matka moja patrzyła na mnie z coraz większym smutkiem i niepokojem, coraz częściej obejmowała mię ramionami i tuliła do piersi z gorączkową czułością jakby bolała nademną, jakby w żalach mych i upadkach własną czuła winę, jakby żegnała się ze mną boleśnem ale zrezygnowanem pożegnaniem matki, co gotowa dla szczęścia dziecka swego wyrzec się jego widoku.

Przychodziły jednak dni w których bywała obojętną dla mnie, jakby obwiniała mię w duchu o niespełnienie najmilszych jej życzeń: że odrzucając wszystkie partje jakie mi się przedstawiały odrzuci-

łam sposobność zdobycia tej świetnej towarzyskiej pozycji, jakiej dla mnie pragnęła. Spostrzegłam nieraz że oczy jej tkwiły we mnie z rodzajem żalu a zarazem wyrzutu.

Wtedy zdawał się mój własny smutek, bo czyliż cokolwiek może większym spaść na serce ciężarem jak poczucie, że się zadało cios sercu kochającej i ukochanej matki: że się zniszczyło jej najdroższe marzenia? A przecie kładąc rękę na sumieniu czułam, że nie było w tem mojej winy, niemniej jednak cierpiałam cierpieniem mej matki.

Oprócz tego widziałam ją nieraz dziwnie roztrągnioną i niespokojną, ale niepokojem którego nie ja już jedna była źródłem. Ów żyd długobrody którego już parę razy widziałam i inni jeszcze nieznani a zagadkowi ludzie, o twarzach niemitych i ubraniach nie mających nic wspólnego z wykwintem naszego mieszkania, pojawiali się w niem coraz częściej. Matka moja przesiadywała z niemi godzinami w swoim pokoju, nieraz przy drzwiach zamkniętych a po ich odejściu miewała migrenę i ukazywała się nazajutrz z twarzą mocno pobladłą, z niepokojem w oczach graniczącym z gorączkową obawą. Odgadywałam, domyślałam się, że ludzie ci przybywali dla pieniężnych interesów, i że interesa te musiały być ciężkie i powikłane. Raz, uwagi moje w tym względzie wypowiedziałam przed Binią. Pocziwa piastunka moja westchnęła smutnie i rzekła: Tak, to są kredytorem twojej matki, Wacławo. A po chwili milczenia dodała: Matka twoja ma wiele długów.

Ostatni wyraz posepnie jakoś zabrzmiał na ustach Bini, a ja przypomniałam sobie jak w Rodowie Rozalja często rzucała wyraz ten w twarz p. Agenorowi, niby wyrzut lub szyderstwo a ja nie pojmo wałam dobrze coby on tak straszne znaczył. Niestety! teraz zaczęłam rozumieć złowrogie wyrazu tego znaczenie. Gdy brzmiał mi on w uchu, przed oczami stawała naga, drżąca postać z której złocista szata spada w łachmanach.

Tymczasem otrzymałam od mego ojca krótki lecz serdeczny list, w którym donosił mi o swoim powrocie do kraju. Nie objawiał mi wyraźnie życzenia abym wnet do niego przybyła, ale w każdym słowie pisma czuć było że tego pragnął i oczekiwał.

Po otrzymaniu tego listu biłam się długo z myślami i uczuciami. Pragnęłam jechać do ojca, obraz jego zacny, nieposzlakowany tkwił mi w duszy głęboko, czułam że przy nim tylko znajduję to za czem tęskniłam daremnie w świecie mej matki, i zapracuję i zasłużę sobie na szczęście prawdziwe. Lecz z drugiej znowu strony jakże boleśnie ścisnęło mi się serce na myśl, że opuszczę matkę moją tak kochającą mnie, od której doświadczyłam samęj tylko dobroci i najczulszej troskliwości, a która jeśli ja odjadę pozostanie samotna, wśród tysiąca jeszcze materialnych przykrości i niepokojów. Tu odzywała się znowu pamięć na ojca i myślałam sobie, że i jemu przecie winnam, część miłości mojej, że i on wiódł życie samotne a może i pragnął, aby do surowego i mileżącego jego mieszkania, wniknął promień wesela i poezji jaki z sobą zawsze przynosi kobieta. Czy nie było moim obowiązkiem przynieść mu ten promień, tę pociechę, ciepłem serdecznem wynagrodzić mu dotychczasowy chłód jego istnienia... chłód jaki przecie zostawiła mu po sobie moja matka? Ależ matka! opuścić ją w ciężkiej chwili jej życia, odjechać dla znalezienia sobie spokoju i zapracowania może na szczęście przyszłe, a ją zostawić samotną, znękaną, tęskniącą za jedynym dzieckiem które ją odstąpiło! Serce moje rozrywało się na dwie połowy i po tysiąc razy wołałam w duchu: „Biada dziecku! którego ojciec i matka idą z osobna, każde po innej drodze tej ziemi!“ (d. c. n.)

MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁOMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Sir Patrik list przeczytawszy, pomyślał z westchnieniem.

— Cóż za obłęd nieszczęśliwy, oddał tę szlachetną istotę na łaskę i niełaskę takiego Godfryda!

Mimo tego postanowił rozważyć wszystko i działał gorliwie. Napisał list do rektora z przeproszeniem że doń przybyć nie może, i polecił Dunkanowi aby nikogo do niego nie wpuszczał nawet rządzący.

Po odejściu starego sługi, sir Patrik zajął się przedewszystkiem ułożeniem do Arnolda telegramu z poleceniem natychmiastowego powrotu. Potrzebował szczegółowo wypytać go o wszystko cokolwiek zaszło w Craig Fernie, obecność zatem Arnolda była konieczną.

We dwa dni potem nadeszła telegraficzna odpowiedź: że młoda para stanie dwudziestego w Ham Farm. Nazajutrz, późnym wieczorem, sir Patrik posłyszawszy turkot kół w podwórzu wyszedł na spotkanie oczekiwanych.

— Stryju! zawołała Bianka, ujrawszy go we drzwiach — czy znalazła się Anna?

— Nie zupełnie jeszcze, ale mam nadzieję że to wkrótce nastąpi.

— Czy jest o niej jaka wiadomość?

— Jest, bardzo mało znacząca, ale dla nas dostateczna.

— Czy w czas przybyliśmy?

— Zupełnie. Jutro dowiesz się o wszystkim, a teraz idź zrzucić podróżne przybory i powracaj na wieczerzę.

Bianka pocałowała stryja i pobiegła na górę. Sir Patrik spostrzegł z wielką pociechą, że zmieniała się bardzo na korzyść i jako mężatka nabrała stosownej powagi jakiej wprzód nie miała. Natomiast na Arnoldzie znać było zmatwienie, jakim się dreczył w tajemnicy swego serca.

— Nie mogę wypowiedzieć co się dzieje ze mną, poszepnął sir Patrikowi, ale jestem najzupełniej zgnębiony. Nie gniewaj się mój stryju, i racz na jedno tylko odpowiedzieć pytanie: czy jest nadzieja, że wybrniemy z tych kłopotów szczęśliwie?

— Dziś niepodobna mówić mi o tem, bo i sam jeszcze nie wiem jak rzeczy stoją. Jutro pomówimy obszerniej o wszystkim.

XXXIX.

Nazajutrz rano był przecudny i ogród cały kąpał się w promieniach słonecznych. Bianka była wesolą, rozpromienioną, uroczą co spostrzegłszy sir Patrik zapytał:

— Więc nie gniewasz się na mnie, że przerwałem wam miodowy miesiąc.

— Nietylko że się nie gniewam, ale serdecznie dziękuję, gdyż nabrałam tego przekonania, że miesiąc miodowy spędzony w podróży należy do naszych zdrojności narodowych, które wymagają reformy. Jeżeli zaślubieni kochają się, to i na cóż

im po obeych gonić stronach? Wszakżeż sami dla siebie są największą nowością. Cóż n. p. więcej Arnolda zajmować może, czy Alpy, czy ja jako jego żona? Sądzę że odpowiedź na to łatwa, chodź więc Arnoldzie, obliczymy ile lat upłynie nim zapotrzebujemy nowe oglądać widoki.

Arnold rzucił na sir Patrika błagające spojrzenie, starzec zrozumiał co ono znaczy i ozwał się do bratanki:

— Wybacz Bianco, że zatrzymam na chwilę Arnolda. Mam z nim naradzić się co do dóbr moich w Szkocji. Zwrócę ci go niebawem.

— Zatrzymaj go stryju tak długo jak zechcesz. Sama pójdę do ogrodu i tam mnie znajdziecie jeżeli wam przyda się ua co moje towarzystwo.

— Niechże teraz dowiem się, czy położenie moje może złe sprowadzić następstwa? zapytał Arnold sir Patrika po odejściu Bianki.

— Popełniłeś nieogłędność wielką, przyjmując poselstwo Godfryda do miss Silwester, ale raz zabrawszy, nie mogłeś sobie postąpić inaczej. Nadto byłeś i honorem zobowiązany do milczenia, błędem wszelako było, żeś przyjął fatalną odpowiedzialność na siebie, która ciążyła na tamtym.

— Uratował mi życie, mniemałem więc że odpłacam wywzajemnieniem się najlepszemu przyjacielowi.

— Przyjacielowi, ale nie takiemu Godfrydowi. Ale stało się nie mówmy o tem więcej. Co do położenia twego, miss Silwester radziła się dwóch prawników w Glasgowie a ja, zgadzam się ze zdaniem drugiego utrzymującego: że nie ślubowałeś Annie Silwester. Ale potrzeba wszelako najgorsze przypuszczać następstwa.

— Najgorsze następstwa? powtórzył Arnold z gorzeją, i cóż nastąpić może tak złego, z prostej przysługi natchnionej wdzięcznością?

— Trudno przewidzieć, ale bierzmy rzecz tę pod względem społecznym o ile to dotyczy ciebie, Bianki, i waszej spodziewanej rodziny. Jesteśmy najzupełniej przekonani, że nie miałeś nigdy zamiaru zaślubienia Anny Silwester, ale jest w interesie Godfryda Delamayn udowodnić ci i Annie, że jesteście małżonkami. To ciebie zdumiewa, rzeczył jednak takie już działy się nieraz. Będziesz w położeniu człowieka który wypiera się małżeństwa z ubogą kobietą, ażeby bogatą zaślubić dziedziczkę, a miss Silwester zostanie w podejrzeniu, że zapłacona odstąpiła cię dobrowolnie Biance.

— Ale przecież jest prawo!

— Nie ono nie poradzi. Delamayn może się chwycić tego środka skoro się już na tyle odważył. Będzie się więc starał powiadomić o wszystkim Biankę, a wtedy ona nie da nam chwili spokoju, dopóki sprawa ta nie zostanie załatwioną. Przypuśćmy, że na teraz małżeństwo wasze w niezem niepokoju nie dozna, ale, czy kiedyś z tychże powodów dzieci wasze nie nie ucierpią? Mamy do czynienia z człowiekiem, który odważy się na wszystko: mamy dilemma prawne, które od początku do końca są skandaliczne: mamy do czynienia z dwojgiem ludźmi jak mistress Inchbare i Bishopriggs, którzy wszystko wygadać mogą. Przez wzgląd zatem na Biankę i wasze przyszłe dzieci, winniśmy całą tę sprawę wyjaśnić i raz na zawsze ukończyć. Chodzi tylko o to, czy rozpocząć działanie w porozumieniu się z miss Silwester, czy też bez niego?

W tej chwili Bianka nadbiegła. Trzymała kapelusz Arnolda, i z całą wyrzekłą powagą:

— Namysliłam się w ogrodzie, że ci w brązowym kapeluszu więcej jest do twarzy aniżeli w białym, więc przynoszę ci go a gdy skończycie, to przyjdź do

mnie jak najprędzej do ogrodu. Stryju kochany już uciekam, bo nie chcę panom przeszkadzać.

— O ile znam kobiety odezwał się Patrik po odejściu Bianki, przewiduję, że ważna sprawa kapelusza tego rana ciągle powtarzać się będzie. Nie da ona nam i minut dziesięciu wolnego czasu, czyliż więc nie lepiej będzie że ją do rozmowy przypuścimy? może ją przywołasz?

— Niepodobna! odrzekł Arnold z przestachem.

— Mój kochany, rychlej czy później żona twoja dowie się o wszystkim, czyż więc nie będzie właściwiej, że jej sam powiesz to, do czego wkrótce nas zmusi konieczność?

— Nie wiem już sam co począć, odrzekł Arnold prawie z rozpaczą: jestem zgryziony, zataiłem przed nią bytność swoją w Craig Fernie, zwiódłem ją... cóżby powiedziała na to, gdyby tak nagle dowiedziała się całej prawdy? Wiesz stryju że byłem w karczmie właśnie wtedy, gdy tam Bianka przybyła.

— I ukryłeś się przed nią tak samo, jak przede mną?

— Gorzej, stokroć gorzej! W dni parę potem Bianka opowiadała mi o swojej bytności w Craig Fernie, o niewidzialnym mężu miss Silwester, a ja milczałem! To i cóż Bianka teraz o mnie pomyśli?

Zaledwo wymówił jej imię, a już sprawdziła się przepowiednia sir Patrika i Bianka ukazała się w otwartym oknie z białym kapeluszem w rękę.

— Jeszcze rozmowa nieukończona? zapytała. Przykro mi stryju, że przerywam znowu, ale te kapelusze Arnolda są szkaradne. Białe daleko jest ładniejszym od brązowego... Prawda stryju że jestem dziś dziwnie niespokojną, a sama nie wiem dla czego?

— Wytłomaczę ci ten niepokój, Bianco — odrzekł sir Patrik — cierpisz na chorobę bardzo powszechną pomiędzy młodemi damami w Anglii. Jest nią brak zatrudnienia, czyli mówiąc wyraźniej: chorujesz na nigusostwo.

Bianka pokłoniła się jakby przy nauce tańca.

— Mogłeś mi to stryju w krótszych powiedziec wyrazach, i z uśmiechem rzuciwszy potępiony brązowy kapelusz pobiegła do ogrodu.

— Rzeczywiście, że położenie twoje jest trudnem mój Arnoldzie, odezwał się sir Patrik znowu. Byłoby bez wątpienia o wiele rozsądniej gdybyś Biance przed ślubem wypowiedział wszystko. Przyczynił się także najniewinniej do tego nieszczęsnego *dilema*, w jakie z miss Silwester popadłeś, przyspieszwszy ślub twój z Bianką. List Anny godny uwielbienia, byłby zawczasu te wszystkie usunął trudności. No, ale rozjaśnił czoło! Mam obowiązek wyrowadzenia ciebie z tego labiryntu, i da Bóg że tego dokonam. Nie lubię poruszać się tak zaraz po śniadaniu, więc podaj mi ze stolika kałamarnic i papier.

— Czy stryju napisze do miss Silwester?

— Jeszcześmy tego nie rozstrzygnęli pytania. Muszę wprzód poznać niektóre szczegóły, zaszła pomiędzy wami w Craig Fernie.

Zaczął mu zatem zadawać jedno pytanie po drugim a gdy badanie doszło do chwili, gdy Anna list Godfryda zmięta i rzuciła ze wzgardą, sir Patrik umaczał pióro, zrobił notatkę i rzekł:

— Tutaj szczególniej nie nie opuść, bo tu każdy szczegół jest niezmiernie ważny. Muszę wiedzieć każdą drobnostkę o tym liście zaginionym....

— Więc zaginał?

— Ukradł go Bishopriggs ale nie wiem co w nim było, a ty?

— Fraszka. Były to raczej dwa listy na jednym

pisane arkuszyku: jeden napisała Anna do Godfryda a drugi Godfryd do Anny.

Sir Patrik wyprostował się i twarz jego nagle się rozjaśniła.

— I dla czego obadwa listy na jednym pisane były arkuszu?

Arnold rzecz opowiedział jak była.

— A list Anny czytałeś?

— Mógłbym go być przeczytać, ale nie chciałem.

— I dla czego tego nie zrobiłeś?

— Przez delikatność.

— Była to delikatność najdelikatniejsza, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Ale stało się! to przynajmniej list Godfryda przeczytałeś?

— Tak.

— Powtórz mi go o ile potrafisz dosłownie.

— Był krótki. Godfryd donosząc że został do Londynu wezwany, prosił by mistress Silwester pozostała w Craig Fernie.

— A czy nie wspominał w nim o ślubie i czy nie starał się jej pod tym względem uspokoić?

— Ach, tak! Godfryd pisał o dopełnieniu przyrzeczenia swojego.

— Czy z pewnością?

— Najniezawodniej.

— A czy list był podpisanym?

— Był.

— I data położoną?

— Tak, a nawet i godzinę oznaczył.

— Dla czego?

— List był zbyt krótki, i mówiłem mu by dodał, że spiesz na kolej.

— I list ten wręczyłeś miss Silwester?

— Tak jest.

— Przeczuwałem ważność tego listu, bo inaczej Bishopriggs nie byłby go ukradł. Potrzeba go więc dostać, bądź co bądź, a teraz muszę do tego prawnika w Glasgowie napisać i dowiedzieć się o miss Silwester.

— Poczekajcie trochę! zawołał głosik z werandy, i nie zapominajcie, że po to z Badenu wróciła, ażeby być wam pomocną. Był to głos Bianki która przybiegłszy nagle usiadła przy stryju, i położyła rękę na jego ramieniu.

Stryj ma słuszość! — odezwała się, chorując dziś wyraźnie na to, że nie mam do roboty. Pozwólcie mi zatem do Anny napisać.

— Prawnik w Glasgowie ma jej adres, odrzekł sir Patrik i właśnie piszę do niego. Gdy nam go nadesł, będziesz mogła wtenczas dopiero napisać.

— Ach Boże! Czyliż mi nie dacie jakiego zajęcia? To tak długo czekać zanim odpowiedź z Glasgowa nadejdzie. Arnoldzie, daj mi robotę jaką!

— Napisz do lady Lundie, już przed trzema dniami miałaś list od niej, odpowiedź więc należy się.

— Od lady Lundie? zapytał sir Patrik.

— Tak — odrzekła Bianka — masz słuszość Arnoldzie, że winnam jej odpowiedź, muszę napisać żeśmy do Anglii wrócili, choć będzie oburzona gdy dowie się dla czego powrót nasz przyspieszyliśmy.

Sir Patrik spojrział na nią znacząco, potem list swój dokończył i sam włożył go w torbę pocztową. Powstawszy, skinął na Arnolda i wyszedł z nim razem do ogrodu, zostawiając Biankę piszącą...

— Czyliż nie kontent jesteś stryju, zapytał Arnold, że Bianka list pisze do lady Lundie?

— Ta twoja Bianka zawsze nam musi wejść w drogę.

— Ależ powinna była zdaje mi się do macochy napisać, z doniesieniem o naszym przyjeździe.

— Zapewne, tylko widzisz...

Sir Patrik przystanął. Zażył tabaczkę i wskaza-

wszy laską brzęczące ponad kwiatami pszczoły, rzekł.

— Gdyby Bianka jednej z tych pszczołek powiedziała, że kwiatki już nie zawierają słodyczy, czyliżby temu uwierzyła? Bynajmniej! Tylko by tem głębiej żądę zapuściła w kielich, by przekonać się o tem. Tak samo i lady Lundie na prostej nie porzestanie wiadomości, tylko zechce dowiedzieć się dokładnie i zgłębić przyczynę, dla której powróciliście tak niespodzianie. A co z tego wynikać może? Bóg tylko wie.

W téj chwili znowu nadbiegła Bianka.

XLI.

W poniedziałek listy sir Patrika odeszły, a we wtorek po południu zebrali się wszyscy troje w bibliotece i z ciekawością torbę powitali pocztową. Zawierała pomiędzy innymi — jak to przewidział sir Patrik, i list od lady Lundie. Od prawnika z Glasgowa odpowiedzi nie było żadnej.

— Czy to zły znak? zapytała Bianka.

— Musiało coś zająć — odrzekł stryj. Master Krum znać jeszcze wiadomości nie otrzymał dokładnej. Miejmy wszelako nadzieję że jutrzejszą pocztą odpowiedź jego nadejdzie.

— Otwórz stryju list lady Lundie. Czyliż istotnie do mnie nie pisała?

— List jej jest do mnie tylko napisany.

— Rozumiem co to znaczy, odezwała się Bianka spoglądając z boku na pismo macochy. W moim liście wspomniałam o Annie, i to zapewne jej wysokość obraziło śmiertelnie.

Było to wszelako niezasadne przypuszczenie, bo niewiasta zajmująca pełne godności stanowisko, we wszystkich wypadkach rodzinnych nie bywa nigdy obrażoną śmiertelnie, tylko głęboko dotkniętą.

„Wiem dobrze” — pisała ta szanowna chrześcijańska niewiasta — „że w rodzinie s. p. ukochanego małżonka, jestem uważaną jakoby narzuconą tylko. Lecz nie byłam przygotowaną na to, że zostanę wyłączoną w sprawach ważniejszych. Narzucać się nie chcę i nie myślę a ze względu na samą siebie, nie odpowiadam Biance ale zgłaszam się raczej do głowy rodziny. Pozwól przeto zapytać siebie, sir Patrik: czyli w okolicznościach o tyle ważnych, że przywołałeś pasierbicę moją i jej małżonka z podróży do nagłego powrotu, osądziłeś za rzecz przyzwoitą, ażeby mnie, wdowę po sir Tomasie, pozostawić w nieświadomości zupełnej tego co zaszło? Osądź to, sir, nie przez wzgląd na mnie ale raczej na własne stanowisko społeczne.

Ciekawość, wiesz dobrze że jest zupełnie obcą naturze mojej. Lecz skoro ten straszny wybuchnie skandal, co niechybnie nastąpi, świat zaraz zapyta: Jakież jest zdanie lady Lundie? Odpowiedzą mi na to: lady Lundie o niczem nie wie. Nie obrażam się o nic, może dotkliwie zranioną zostanę, lecz mniejsza o to! Obowiązki swoje spełnię zawsze z powagą i pogodą. Wyłączona nawet tak niesłusznie, śię do Ham Farm życzenia najszczerze dodając, choć może narażę się na wasze szyderstwo, że modły moje samotne są zawsze poświęcone dla wszystkich.”

— Cóż tam pisze lady Lundie? zapytała Bianka.

— Macocha śle ci najlepsze życzenia odrzekł sir Patrik i skłoniwszy głowę wyszedł z biblioteki.

— Czy osądzam za rzecz przyzwoitą, ażeby wdowę po sir Tomasie pozostawić w niewiadomości tego co zaszło? powtórzył sobie w duszy. Ha! gdy kobieta jest podrażniona, uważam że dla niej jest najpożądańszem, aby ostatnie miała słowo. Wszedłszy do biblioteki wsunął list bratowej do szufladki z napisem: *Listy niepotrzebujące odpowiedzi* potem

włożył kapelusz, zanucił ulubioną piosenkę i wyszedł do ogrodu.

Nazajutrz nadszedł list od prawnika z Glasgowa, a w nim był przyłączony numer dziennika. Sir Patrik list przeczytał z niezadowolaniem i podając go Arnoldowi rzekł.

— Złe wiadomości mój kochany.

Master Krum donosił, że we dwa tygodnie potem, gdy miss Silwester opuściła Baranią głowę, odebrał list od niej, iż zamieszkała na wsi w bliskości Glasgowa. Zainteresowany jej dolą odwiedził ją tamże i przekonał się że u bardzo zacnych mieszka ludzi, i że we wszelkie wygody dostatecznie jest zaopatrzona. W tydzień potem znowu list od niej odebrał w którym mu doniosła, że wyczytawszy wiadomość w Dzienniku Glasgowskim która ją zbliżka obchodzi, zniewoloną zastała udać się jak najprędzej w północną stronę kraju, dziękując z całego serca za jego względność i dobroć, i prosząc ażeby u siebie zatrzymał wszelkie do niej przesyłki i listy. Odtąd wszelako nie miał żadnej od niej wiadomości, którą jak tylko odbierze, nieomieszka natychmiast przesłać interesowalym. Przyłączał zarazem ową gazetę w téj nadziei, że sir Patrik prędzej od niego coś się z niej domyśli.

— Ja to najprędzej tego dojdę, odezwała się Bianka podejmując dziennik, ale przebiegłszy jego kolumny zawołała z żalem:

— Nie w nim nie ma interesującego nas, chyba tylko wiadomość, że Godfryd żeni się z mistress Glenarm.

— Co? co? zapytał sir Patrik rzucając znaczące spojrzenie na Arnolda, pozwól Bianco niech sam doniesienie to odczytam, bo może co w niem opuściłaś?

Wiadomość wyczytana przez Biankę, była pod rubryką: modnych nowin, w których donoszono, o mającym nastąpić małżeńskim związku honorable Godfryda Delamayn z piękną i wykształconą wdową po s. p. Mateuszu Glenarm znaną dawniej, jako miss Newenden. Ślub zapewne nastąpi w Szkocji jeszcze przed upływem jesieni. Swanhawen Lodge, jak mówią zgromadzi z powodu weselnej uroczystości liczne towarzystwo z wyższego świata.

Było więc jasnym: że nieszczęśliwa, porzucona kobieta odzyskała dawniejszą energję i postanowiła rozpaczliwego chwycić się sposobu, by ślubowi Godfryda przeszkodzić.

— Fatalność to prawdziwa! zawołała Bianka — ciągle tylko zawody i nieporozumienia. Czyliż z Anną już nigdy spotkać się nie mamy?

Bianka wyszła do przyległej cieplarni.

— Okoliczności groźną przybierają postać, odezwał się sir Patrik do Arnolda, nie można przewidzieć co zajdzie gdy dwie spotkają się kobiety do jednego zmierzającego celu, i do jak szalonego czynu gotów posunąć się Godfryd. Zaprawdę, że ani wiem co począć. Jakiś presbiterjanin wyrzekł kiedyś, że druk jest wynalazkiem szatana, i na honor zaczynam się skłaniać do tego twierdzenia.

Podjął znowu dziennik bezmyślnie, który właśnie odłożył Arnold i zajrzawszy do niego zawołał nagle.

— Co to? Coś tam jest o mistress Glenarm!

Pomiędzy korespondencjami była jedna z północnej strony kraju. Sprawozdawca mówił nasamprzód o polowaniach rozlicznych, o modach paryzkich, o przypadku jakiegoś turysty, o zaszłym gdzieś skandalu a wreszcie o zajmującym wypadku, który dotyka znane osoby sfer wyższych, mające wkrótce zawrzeć z sobą związek małżeński.

„Wielkie wywołał wrażenie, wyrażał się korespondent powyższy — w Perth i okolicy całej, anonim odebrany przez pewną damę, że zaś na urzędowej pod tym względem drodze, nazwisko jej już wymienionem zostało, więc i my powtórzyć możemy, że

tą damą jest mistress Glenarm narzeczona *honorable* Godfryda Delamayn, jak to już poprzednio doniesieniem zastała.

Mistress Glenarm odebrała anonim zaraz dnia pierwszego, gdy do znajomych blisko Berth przybyła, zawierający ostrzeżenie, że master Godfryd Delamayn już poprzednio z inną zaręczony jest damą, która pewno zamierzonemu małżeństwu z mistress Glenarm przeszkodzi. Dowody zawarte są w dwóch listach napisanych i podpisanych przez obojga, które, pod pewnymi warunkami mistress Glenarm wręczone być mogą. Za wydanie tych listów, donoszący żąda po pierwsze, pieniężnego wynagrodzenia; po drugie, ażeby to nastąpiło w sposób tak oględny, by prawo pod żadnym względem osiągnąć go nie potrafiło, a to za pośrednictwem dziennika, pod napisem: Nieznanemu przyjacielowi. Wszystko to domyślać się każe, że autorem tego listu bezczelnego jest człowiek, należący do warstw najniższych. Mistress Glenarm pokazała anonim krewnemu swojemu, kapitanowi Neweden, który w Perth niezwłocznie gorliwie zarządził poszukiwania, by wykryć autora a może i dozwolić mu z położenia rzeczy korzystać.

Po tym pierwszym liście bezimiennym nastąpił drugi i trzeci, więcej jeszcze zuchwały, bo powiedziano w nich: że poszukiwania wszelkie będą nadaremne, zabierają czas bezpotrzebnie a cenę dowodów powiększą tylko. Kapitan Neweden udał się do zwierzchności, która gorliwych dokładała poszukiwań, do rozwikłania tak tajemniczej zagadki, ale starania jej bez skutku pozostały.

— Sprawa coraz się bardziej wikła i zaciemnia, odezwał się Arnold.

— Bynajmniej, odrzekł sir Patrik, przeciwnie wyjaśni się. Nie będę teraz potrzebował gonić za Bishopriggsem, bo miss Silwester udała się zapewne do Berth by złożyć stosowne o wszystkim objaśnienie.

Nazajutrz nadszedł list od prawnika z Glasgowa. „Odebrałem wiadomość od miss Silwester, pisał, że postanowiła zatrzymać się w Londynie, do czego ją zapewne głównie niedostatek pieniędzy skłania. Chce występować w koncertach, za pośrednictwem dawnego znajomego matki swojej ajenta muzycznego, który znanym jest jako człowiek zacny i prawy.

Co do interesu, o którym wyczytała w dzienniku wiadomość, o tym żadnej nie czyni wzmianki.

Sir Patrik był sam, gdy list ten odebrał i zaraz napisawszy do swego ajenta zadzwonił.

Duncan zjawił się zaraz.

— Miss Silwester jest spodziewaną w Londynie, rzekł do starego sługi. Potrzebuję wysłać tam kogoś zaufanego, więc ty pojedziesz. Masz tutaj adres gdzie o niej się dowiesz. Powiedz miss Silwester, jeżeli ją zastaniesz, że będę miał zaszczyt odwiedzić ją wkrótce, i proszę by mi dzień wyznaczyła.

Sir Patrik raz wtóry list prawnika przeczytał. Zaniepokoiło go wiele, że to interes pieniężny spowodował podróż Anny do Londynu, przypuszczając przytem że zaszła może jaka przykra scena pomiędzy mistress Glenarm i miss Silwester. W takim więc razie pragnął Annie wszelkiej udzielić opieki. Jestem to winien Biance, wyrzekł sobie w duszy — i winien samemu sobie, by Godfryda zmusić do wyznania wszystkiego z całą otwartością.

Wierny Duncan powrócił z Londynu z odpowiedzią ajenta: miss Silwester jeszcze nie zastał, ale spodziewano się jej przybycia w czwartek.

Bianka ucieszyła się niezmiernie tą wiadomością, a Arnold po raz pierwszy od powrotu z Badenu swobodnie odetchnął. Sir Patrik wszelako nie podzielał

dobrego humoru młodej pary; wszystko niby to zamiarom jego sprzyjało, nie potrzebował trudzić się podróżą do Szkocji, miał zobaczyć Annę za dni parę, a jednakże był dziwnie nieswoim przez wieczór cały.

SCENA ÓSMA.

Bishopriggs

XLII.

Nazajutrz po zabawie w Sanhawen, Bishopriggs udał się do Berthu i został przyjętym zaraz w hotelu pod Arfą Szkocji, w którym był znanym gospodarzowi oddawna, jako prawa ręka mistress Inchbare, i poleconym szczególnie przez pierwszego posługacza, Tomasza Pennyquik, dawnego swego przyjaciela.

Ten ostatni szczęśliwym wypadkiem dla Bishopriggsa, cierpiał bardzo na reumatyzm, i zmuszony leczyć się w domu, wołał miejsca swojego znajomego aniżeli obcemu ustąpić.

Anna Silwester przybyła do Perth mocno przekonana, że to Bishopriggs z jej listów zaginionych usiłuje pewnie wyciągnąć korzyści. Dowiedziała się z łatwością, że obecnie usługuje pod Arfą Szkocji postanowiła więc jak najprędzej z nim się zobaczyć.

Było to wieczorem, w chwili ogólnego wypoczynku w hotelu pomiędzy obiadem a wieczorą. Bishopriggs był w swojej komórze, by jak zwykle o tej porze ulubionym raczyć się toddy. Postawił szklankę przed sobą i popijając rozważał obrót swego działania w którym straszyl mistress Glenarm skandalem publicznym.

— Rozważanie tę przerwała mu dziewczyna hotelowa.

— Master Bishopriggs! zawołała — jest tam pani jakaś która się pragnie z wami zobaczyć.

— Pani? — powtórzył, o mnie zapytuje najskromniejszego pod słońcem człowieka? Nie jestem przecie Don Juanem! ani też Salomonem którzy setki mieli kochanki! Powiedz tej pani, niech sobie wraca z kąd przyszła.

W tej chwili Anna stanęła przed nim.

— Nie jestem obcą master Bishopriggs — odezwała się gdy dziewczyna ciekawie przypatrywała się nieznanym sobie osobie.

— A! dziecko drugie jedynéj siostry mojej! zawołał Bishopriggs z przytomnością nigdy go nie odbiegającą. Niechaj Bóg dobry będzie błogosławionym! Możesz odejść Maggie do pracy swojej, to moja siostrzenica.

Dziewczyna wybiegła zamykając drzwi za sobą.

— Cóż panią tu sprowadza? zapytał potem wiele zaniepokojony.

— Chciałabym odebrać list, który upuściłam w pokoju moim, w Craig Fernie.

Bishopriggs zmięszkał się i odchrząknawszy odrzekł dopiero po chwili:

— Nie wiem o żadnym liście i dziwię się niezmiernie temu żądaniu.

Ta nagła w nim zmiana przeświadczyła Annę tem więcej, że się nie myli w swem przypuszczeniu.

— Masz mój list — wyrzekła z silnem postanowieniem dopięcia celu — i chcesz z niego niecny zrobić użytek. Lecz ja tego nie dopuszczę. Chcesz go sprzedać obcej osobie, a ja żądam byś mi go oddał bez zwłoki.

Bishopriggs zastanowił się, bo przypuścił że zapewne obrońcy mistress Glenarm powiadomili Annę

o całej tej sprawie. Chciał zatem ostrożnie wprzódy wy badać ją aby wiedzieć jak ma dalej postąpić.

— Nie radbym drogi czas tracić nadaremnie, odezwał się po chwili, ale aż mi to tu nie staje na takie oskarżenie. Wstyd to prawdziwy coś podobnego przypuszczać! Byłem przecie jakoby ojcem rodzonym dla pani w Craig Fernie.

— Anna wyjęła dziennik Glasgowski, położyła przed nim na stole i wskazała znany nam artykuł.

— A niechże czarci porwą dziennikarzy wszystkich, pismaków, drukarzy i papiernie zawołał Bishopriggs z udanem oburzeniem i przeczytawszy opis anonimu dodał z najniewinniejszą miną: Ale tu niema i słówka o Samuelu Bishopriggsie, ni też o Craig Fernie?

— Daj pokój panie Bishopriggs — odrzekła. Anna, wykrety wszelkie na nie się tu nie zdadzą. Gdy mi list oddasz, otrzymasz natychmiast pięć funtów, jako wynagrodzenie za rzecz zwróconą mi przez ciebie. Jeżeli tego nie uczynisz, list skradziony stanie się w ręku twojem bezażytecznym tylko szpargałem. Przypuść, że sama pójde do mistress Glenarm, że mam więcej podobnych listów od pana Godfryda Delamayn, które pokazać mogę, to i po cóż mistress Glenarm ma kupować ten, który w twoim znajduje się ręku?

Bishopriggs dwa rzadkie posiadał przymioty, samouznanie gdy pobitym został, i że umiał wycofać się z honorem z każdego położenia. Odrzekł też natychmiast dobrodusznie.

— To pani pisałaś listów do pana Godfryda Delamayn na który on odpisał ołówkiem? Zkądżeż ja miałem wiedzieć że pani jesteś Anną Silwester? Przecież mężem pani w hotelu nie był pan Godfryd Delamayn. List więc oddam skoro wiem że jest pani własnością.

Otworzył pugilares i list wyjął z miną najpoczciwszego człowieka, spoglądając nawet obojętnie na pięcioletni bilet.

— Nie wiem nawet łaskawa pani, dodał wzruszając ramionami, za co właściwie ten pięcioletni bilet dostaje? Jest to tak naturalnem, tak sprawiedliwym, napisze mi jednak pani poświadczenie żeś list ten odebrała.

Anna położyła bilet bankowy na stole i list wywała mu z ręki.

— Nie potrzebne poświadczenia! zawołała gwałtownie, nikt go żądać nie będzie od ciebie, i chciała go podrzeć w kawałki.

Bishopriggs pochwylił jej rękę.

— Nie oddam tego listu, zawołał, bez poświadczenia! Panią już nie obchodzi zostawszy żonę tamtego pana co był w hotelu, czy Godfryd Delamayn przyrzekł pani małżeństwo lub nie, ale dla mnie nie jest rzecz ta obojętną i powiadam pani, że muszę mieć poświadczenie bo inaczej listu nie oddam.

— Napiszę poświadczenie — jakiego żądasz, odezwała się odetchnawszy, ale powiedz jak mam go napisać?

Bishopriggs podyktował, poświadczenie wraz z biletem bankowym do kieszeni schował, a list jej wręczył.

— Teraz go pani możesz podrzeć, jeżeli się tak jej podoba, odezwał się Bishopriggs ze złośliwym uśmiechem. Lubię wszystko mieć w porządku, taka już moja natura.

Anna otuliła się płaszczem nagłem przejęta zmięciem.

— Zachowam go! poszepnęła sama do siebie, chowając list do kieszeni i wychodząc z komórki Bishopriggsa.

We dwa dni później rannym pociągiem odjechała do Swanhawen.

O UBIORACH.

Jakkolwiek dotąd zi na nie chce nas stanowczo opuścić, jednak magazyny tutejsze już się zaopatrzyły w wiosenne ubrania z samych wełnianych tkanin. Najświeższą nowością jest tak zwana crêpe de chine wełniana półtora łokcia szeroka, inny rodzaj crêpe de laine, baste de chine i mohair we wszystkich kolorach modnych z odpasowanym szlakiem i frendzlą kosztują po 85 kop. łokcie. W ogóle suknie tej wiosny nosić się jeszcze będą w dwóch kolorach stosownego cieniu np. lilas mauve z bardzo jasnym lila, orzechowy ciemny z kafowym, meksyk z jasno niebieskim, mode ze stalowym it. l. Ubranie sukien to jest: falbany, plisy, nawet wypustki, wszystko z materjałów wełnianych nie jak dawniej bywało jedwabnych, co znacznie wpływa na tanióść sukni, na którą mimo zwężenia objętości, tak wiele dziś materiału potrzeba. Widzieliśmy także u pana Kwiatkowskiego nadzwyczaj miękkie i ciepłe szale, 6 łokci długie a 3 szerokie do noszenia na chłodną porę, urządzając wedle woli jako szal, podwójnie złożoną chustkę lub beduinę. Szale te na czarnym tle w pasy kolorowe wschodniego gustu, zwą się Mogador. Cena rs. 18.

Pani Penkalowa która niedawno powróciła z Brukseli, takie mnóstwo przywiozła różnego rodzaju ubrań, że doprawdy nie wiadomo co bardziej podobać się może. Gotowe kostiumy złożone ze spódniczki, tuniki i paletocika lub stanika, są na rozmaite ceny zaczawszy od 20 rs.

Kilka z nich opiszemy. Suknia do ziemi z wełnianego fularu w kolorze mode (gołąbkowy) od dołu 4 bufki na 3 cale szerokości każda, razem zeszyte, dwie środkowe w kolorze sukni, przedzielone pliską z fularu także wełnianego w stalowym kolorze i także same dwie brzeżne bufki, co bardzo ładnie wygląda. Na wierzchu długi paletot do stanu, zapinany na guziki. Rękawy szerokie. Spódniczka od paletota podpinana kokardami dżemi wełnianymi stalowej barwy, tak że się tworzy niby tunika; takie same bufki jak na sukni ubierają paletot i rękawy. Garnirunku dopełnia jeszcze frendzla mieszana w kolorze mode i stalowym.

Suknia z crêpe de laine jasna orzechowa. Spódniczka, ubrana trzema falbankami 5 calowej szerokości, jedna ciemno orzechowa, druga jaśniejsza a trzecia prawie słonkowa (maïs) dalej w odstępnie ciemnym, takie same trzy falbanki. Tunika tak samo ubrana, krótki rozcinany kaftaneczek, falbankami węższymi przybrany, przepięty szarfą objętą potrójnymi wypustkami wełnianymi. Rękawy szerokie.

Suknia z fularu éru (niewarowy). Dwie ciemniejszego koloru falbany od dołu ćwierciowej szerokości, nad nimi riuśzka wąziutka koloru sukni, dalej w małym odstępnie dwucalowym jedna a następnie druga pliska jak falbany, na palec szerokie i znowu riuśzka. Tunika ubrana jasną riuśzką z ciemną pliską i dwukolorową frendzlą wełnianą. Kaftaneczek do figury odpowiednio ubrany. Rękawy szerokie rozcięte, od dołu ubrane ciemnymi falbankami, riuśzką, pliskami i frendzlą.

Wielki wybór kaftaneczków czarnych z rypsu, faille, gros grains rozcinanych lub też luźnych, przybranych w rozmaity sposób pasmanterją, aksamitem, koronkami, znaleźć można u pana Penkali na różne ceny. Obok tego bardzo ładne kaszmirowe także czarne, haftowane w guście wschodnim, kolorowane jedwabiami. Podobały nam się bardzo okrycia z szalów Himalaja, w kolorach popielatym i orzechowym, bardzo dogodne i kształtne, z tyłu tworzące rodzaj beduiny, z przodu skrojone na podobieństwo dawnych mantylek, zdobne odpowiednią frendzlą. Jest to najświeższa nowość. O rycie takie naznaczone było za cenę 20 rs.

U pani Siarczyńskiej, gdzie tak starannie wszystkie obstalunki bywają odrabiane, widzieliśmy także kilka ładnych sukien.

Z materji jedwabnej w prążki orzechowe z żółtym. Spódnica z szerokim wolantem, układanym w kontrafałdy, na niego opuszczona falbana wysiepana 4 calowej szerokości, której przyszyte nakrywa 2 cale szeroka aksamitka czarna, nad nią w małym odstępnie druga węższa. Tunika z tyłu rozcinana, przybrana falbanką i aksamitką. Stanik francuzki z zębem z tyłu rozciętym, z przodu także zębato skrojony, długi do samego dołu zapinany; na wierzchu pasek naszyty aksamitką, z kokardą z tyłu. Rękawy rozcięte szerokie.

Suknia wełniana koloru piaskowego. Spódnica powłóczyta z wolantem ukośnym, zaprasowanym w dubeltowe kontrafałdy, kończącym się na bocznych brytach i przytwierdzonym kokardami brązowymi, nad tym wolantem riuśzka z wysiepanej materji. Stanik francuzki w kant długo ścięty na przodzie, z tyłu w klapki jak do krakowskiego gorseta, na bokach bez kłapek, pasek naszyty brązową pliską z taką kokardą. Stanik cały przybrany riuśzką odpowiednią.

Suknia jedwabna zielona. Spódnica powłóczyta ubrana plisami atlasowemi, kamargo w rodzaju trenu, długie bardzo z tyłu, po bokach ścięte, podpięte kokardami; atlasowa frendzla ozdobiła go do koła. Stanik z przodu otwarty. Rękawy szerokie podpięte kokardami.

Suknia do ziemi z czarnego wełnianego rypsu z falbaną zaprasowaną szeroką, nad nią dwie plisy aksamitne. Do tego kamargo otwierane z przodu, boki rozcięte i spinane na aksamitne kokardy. Wszystko przybrane plisami aksamitnymi i piękną frendzlą. Staniczek z kłapeczkami i rękawy przybrane aksamitem i frendzlą.

Ładniutki był także kostium dla młodej panienki z jasno niebieskiego fularu wełnianego. Spódniczka z wolantem obejmowanym pliską wełnianą, na to druga spódniczka czyli tunika tak samo przystrojona; francuzki

mało jeszcze dotąd pojawiło się świeżych fasonów. Z tych któreśmy widzieli u pani Penkalowej, najwięcej nam się podobały:

Kapelusz wizytowy z brukselskiej słomy, pod brodą wiązany, ubrany różową wstążką z wielkim czarnym piórem i dużym pakiem bladej róży. Z tyłu karcezek w zab z czarnego poult de soie. Podgarniowanie kapelusza do koła całego rondka składało się z neżyku illusion w rurki układanym.

Kapelusz Pompon, dla młodzieńckiej osoby. Z białego bastu okrągłe rondko podwinięte z tyłu i jednego boku, całkowicie podszyte czarnym aksamitem. Ubranie na boczny podpięciu z aksamitki czarnej i wstążki cęrise, z kokardą w rodzaju pomponika ułożoną.

Słonkowy półcylinder, przybrany czarną wstążką jedwabną pomieszana ze słonkową, zdobny prócz tego wielkim pękiem habru i kłosów.

Kapelusze terazniejsze w ogólności ubierają się bardzo wysoko z tą różnicą, że przyozdobienie ich, zwykle daje się od tyłu ku przodowi. Tiulowe czarne na sztywnych fasonach, zarówno okrągłe jak pod brodę i z kolorowej krepki będą bardzo noszone przez lato, bo i teraz widzieliśmy już parę w robocie będących.

Zrobimy jeszcze wzmiankę o niezbędnych przedmiotach damskiej toalety, jak np. o parasolkach, trzewikach i rękawiczkach. Parasoliki tegoroczne najmłodniejsze są: la Reine z szeroką frendzlą lub zębami. Cena rs. 10.

U pani Hofertowej widzieliśmy nader wielki ich zapas na wszelkie wymagania. Do eleganckiego ubrania, parasolik powinien zgadzać się z kolorem sukni, strojnieszyszy prócz frendzli lub zębów, ubiera się na wierzchu białym bengalem w drobniutkie zakładeczki, uszytym na 3 cale szeroko i kosztuje od rs. 8 do 10. Z surowego fularu z szeroką frendzlą kosztują tak samo. Duże parasolki tak zwane: En tout cas, z bardzo trwałej materji, z odmiennym spodem zwaną armure mają oznaczoną cenę 8 rs. Z tańszych dla pań wiejskich na przechadzki i do ogrodowych zajęć, kryte dymką lub alpaga po 2 rs. Kijki do parasolików są bardzo długie w rodzaju lasek do podpierania.

W magazynie obuwia damskiego pana Kwiatkowskiego na Senatorskiej ulicy, dowiedzieliśmy się że tegoroczne buciki będą przeważnie czarne.

Buciki węgierskie bardzo wysokie, z boku na guziki zapinane z sutemi na przodzie u góry kwastami, kozłowe na czas wilgotny o potrójnej podeszwie i francuzkich obcasach 8 rs. pranelowe na podwójnej podeszwie z lakierkami na metalowych francuzkich obcasach 7 rs. także o jednej podeszwie 6 rs.

Wykwintne elegancki noszą rękawiczki dobierane do koloru sukni, zwykle na 2 a nawet 3 i 4 guziczki zapinane.

Za rękawiczki takie płaci się od kop. 90 do rs. 1 kop. 50.

Najwięcej używane rękawiczki na tę porę są ciemno zielone, szafirowe i fioletowe z kozłowej skóry. Cena ich na jeden guziczek zapinanych wynosi rs. 1 kop. 20.

Rękawiczki w dzikim kolorze służą również do zwykłej codziennej toalety, zawsze jednak zastosowane do koloru sukni.

Opis N. 17.

N. 1. Suknia z wolantem i karoczkami.

Do sukni w czarny rzućnik doskonale pasuje przybranie z czarnej aksamitki i cienkiego czarnego sutasu, którym naszywa się wolant dolny 24—30 c. szeroki i wąziutką falbaneczkę, stanowiącą garnirunek karoczek i stanika. Naszyte aksamitem wskazane jest na wzorze, dodamy tylko że odcinany karoczek przystający gładko do figury, roztwiera się z tyłu, równie jak z przodu, a na zaokrągleniu w bokach jest wycięty. Pasek

aksamitny, do którego wszywa się karoczek przybrany z tyłu aksamitną kokardą. Rękawy mogą być podług gustu, przystrojone wązkiem naszyciem albo też szerokim wolantem, puszczonej wolno od łokcia.



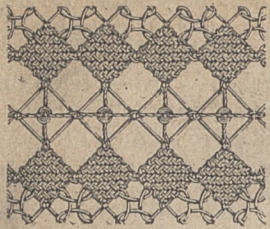
N. 1—2. Ubrania domowe.

N. 1. Suknia z wolantem i karoczkami.

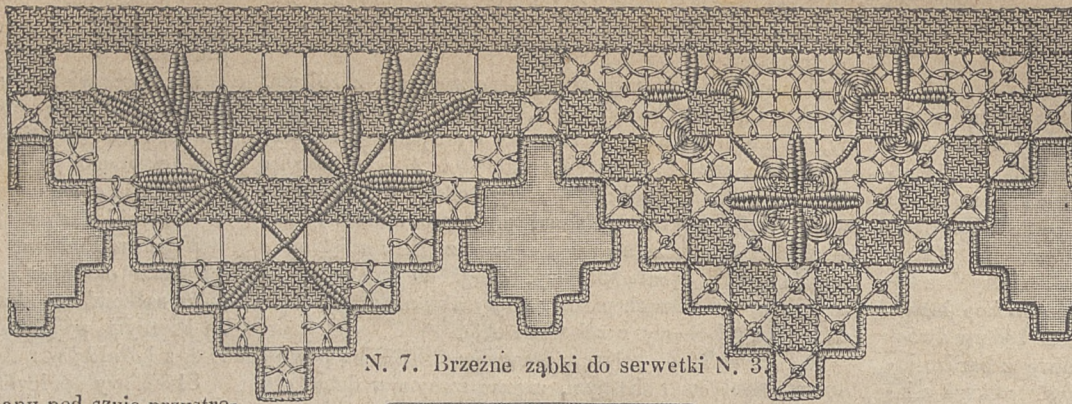
N. 2. Suknia z karoczkami w miejsce szarf.

bardzo zgrabny kaftaneczek rozcięty z tyłu, przepięty był paskiem z kokardą w górę ułożoną.

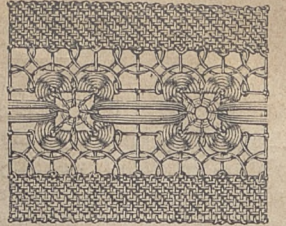
Równie ważną obecnie częścią damskiego ubrania, są kapelusze, bo w zimowych nie podobna już chodzić, a



N. 5. Wązki szlaczek do ryc. 3. Siatka gipiurowa.



N. 7. Brzeźne ząbki do serwetki N. 3

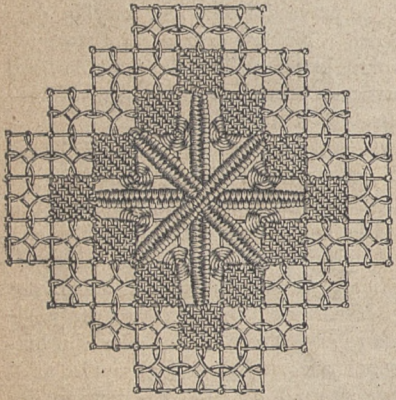


N. 6. Wązki szlaczek do ryc. 3 i 39 w T. M. N. 16.

N. 2. Stanik z karoczkim zastępujący szarfę. Spódnica gładka powłóczysta, stanik zapinany pod szyję przystrojony ranwersem. Rękawy długie z szerokim wolantem.

Miejsce

szary zastępuje przyszyty do paska karoczek, złożony z prostego kawałka od 30 do 35 cen. szerokość i 60 cen. długości, ścięty środkiem ze strony poprzecznej na 3—5 cen. ogarniowany ruszą i szeroką plisą rysową lub jedwabną. Środkiem karoczek jak to wskazuje rysunek, założona jest szeroka kontrafałda, przycięnięta u góry kokardą z tegoż co suknia lub co plisa materiału, dalej karoczek wszywa



N. 4. Część szerokiego szlaku do serwetki ryc. 3.

się gładko. Biała szmizetkowa chusteczka wraz z odpowiednimi rękawkami dodają elegancji temu ubraniu.

N. 3—7. Serwetka z siatki gipiurowej.

Podajemy nowe desenie na siatkę gipiurową, które zarówno służyć mogą na serwetki, kapy jak też na elegancką poduszkę na kanapę, na podwleczeniu z kolorowego atłasu, mory lub materji. Nr. 3 Przedstawia w zmniejszeniu kapę na poduszkę odrobioną z jednego kawałka siatki. N. 4 podaje desenie pojedynczych kwadratów w naturalnej wielkości. N. 5 i 6 przedstawia desenie wążek szlaczek, oddzielających kwadraty. N. 7. Przedstawia dwa rodzaje ząbków na brzeg serwetki czy kapy, pomiędzy które małe kwadraciki płótna wrobione są dzierganym sposobem.

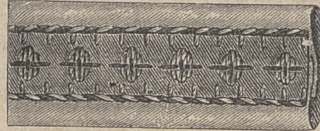
N. 8—9. Dwie pliski przyozdobione haftem.

N. 8 i 9 podają dwa łatwe desenie na tak upowszechnione i ciągle używane, haftowane pliski do sukien, kaftaników, okryć i t. p.

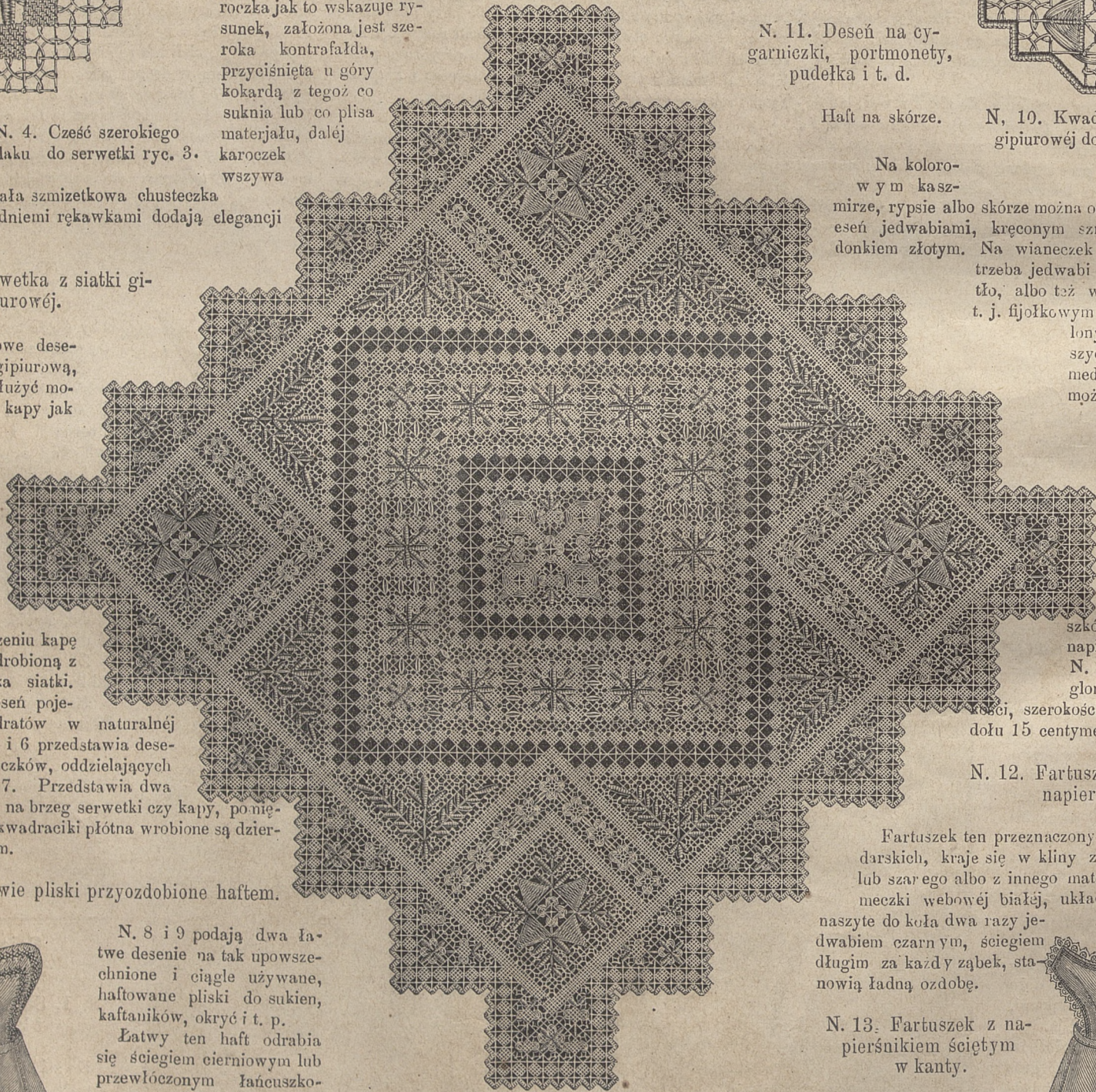
Łatwy ten haft odrabia się ścięciem cierniowym lub przewłóczonym łańcuszkowym, dla osób dorosłych jedwabiem odpowiedniego sukni cieniu albo białym i czarnym, do ubrań dla dzieci, można haft taki odrobić kolorami jaszkrawymi na tle sukienki albo też na wstążce od-



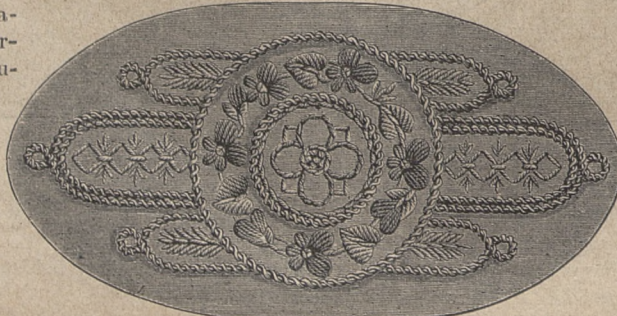
N. 8. Pliska ozdobiona haftem.



N. 9. Pliska ozdobiona haftem.



N. 3. Serwetka z siatki gipiurowej. Zobacz ryc. N. 4 i 7.



N. 11. Haft na skórze do portmonetek, cygarnic itd.

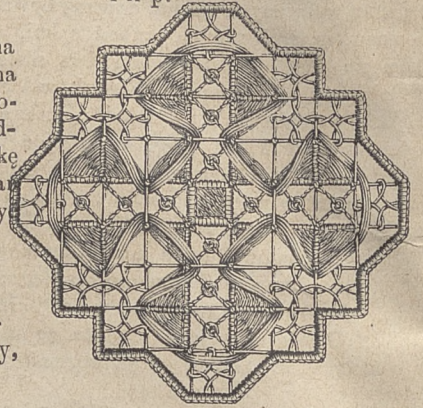
N. 10. Kwadrat gipiurowy na krawatki, czepeczki i t. p.

Kwadrat ten można wrobić pojedynczo na końcach wążki muslinowej krawatki albo też odrobić całą krawatkę z kwadratów naprzemiennie gipiurowych i brzeg oszy koronką fabryczną lub ręczną.

N. 11. Desenie na cygarniczki, portmonety, pudełka i t. d.

Haft na skórze.

Na kolorowym kaszmirze, rypsie albo skórze można odrobić powyższy esen jedwabiami, kręconym sznureczkiem i koronkiem złotym. Na wianeczek z fijołków użyć trzeba jedwabiu w odcieniu takim jak tło, albo też w kolorach naturalnych t. j. fijołkowym do cieniu, a liście zielonym. Na teki lub większych rozmiarów pudełka, medaljon ten użyty być może jako środek do odpowiednich narożników.



N. 10. Kwadrat z siatki gipiurowej do krawatek.

N. 12—13. Fartuszki z napierśnikami.

Do zwykłych fartuszków w kliny dodane są napierśniki. Napierśnik N. 12 w górze zaokrąglony ma 17 cent. wysokości, szerokości w górze 26 cent. u dołu 15 centymetrów.

N. 12. Fartuszek z zaokrąglonym napierśnikiem.

Fartuszek ten przeznaczony do zatrudnień gospodarskich, kraje się w kliny z płótna niewarowego lub szarego albo z innego materiału. Ząbki z tasemeczki webowej białej, układane na dwie strony naszyte do koła dwa razy jedwabiem czarnym, ścięciem długim za każdy ząbek, stanowią ładną ozdobę.

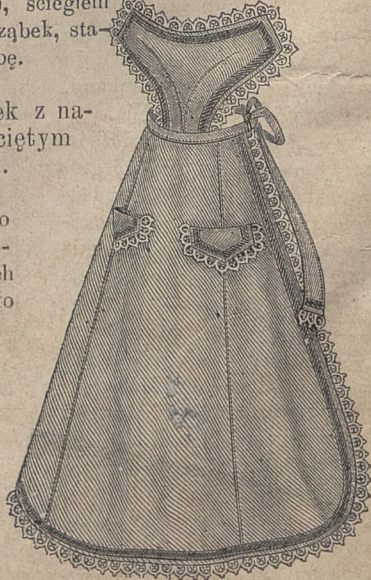
N. 13. Fartuszek z napierśnikiem ściętym w kanty.

Fartuszek ten do noszenia przy domowych zajęciach oszyty jest w koło wążkim haftem gipiurowym; nad szlaczkiem naszyta skośna plisa, 1 cent. szeroka z perkalu w prążki różowe i białe.

N. 13. Fartuszek ze ściętym napierśnikiem.



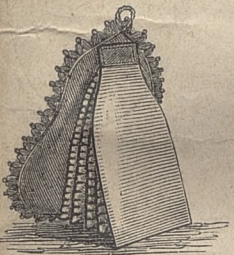
N. 12. Fartuszek z okrągłym napierśnikiem.



Takież haft i pliski, przyozdabiają kieszonki i napierśnik.

N. 14—15. Chusteczka do nosa.
Aplikacja muszlinu na tiulu.

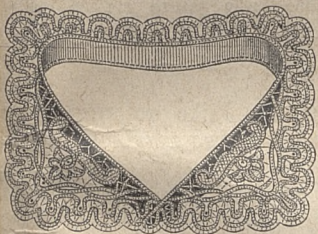
N. 14. Przedstawia w naturalnej wielkości narożnik bardzo pięknego deseni i oznacza wyszycie haftu; pozostaje tylko podług



zmniejszonego N. 15 środkowe tło powiększyć. Ściegi koronkowe w arabeskach i liściach można jak najrozmaiej zmieniać.

Na zakończenie brzegów najłatwiej przymocować łańcuszkiem plecioneczkę z pikotami, lub też odrobić pikoty razem przy dzierganiu. Cała wielkość chusteczki ma 40 cent. środkowe koło batystu wprawione dzierganiem, trzyma 12 centym. średnicy.

N. 17. Stojąca książeczka do igieł. Tył.

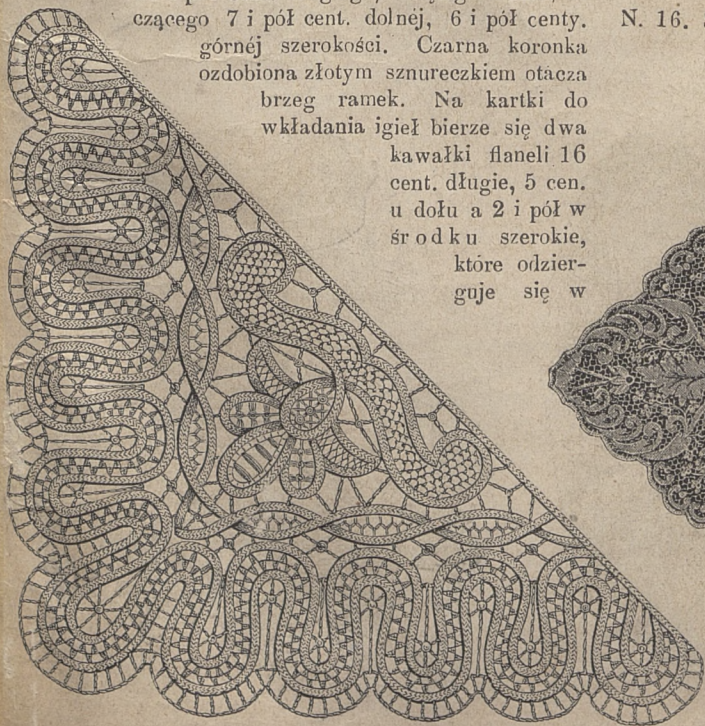


N. 16—17. Książeczka do igieł stojąca.

Materiał: sukno białe; jedwab zielony do cieniu, złoty sznureczek; złoty bajorek, czarne perełki, 34 cent. czarnej koronki 1

N. 18. Wykładany kołnierzyk.
Patrz N. 19.

i pół szerokiej; biała flanela, sztywna tektura. Książeczka do igieł odrobiona w kształcie ramek stojących, wymaga na główną podstawę kawałka tektury 10 i pół cent. długiego, ściętego w łuki, liczącego 7 i pół cent. dolnej, 6 i pół centy. górnej szerokości. Czarna koronka ozdobiona złotym sznureczkiem otacza brzeg ramek. Na kartki do wkładania igieł bierze się dwa

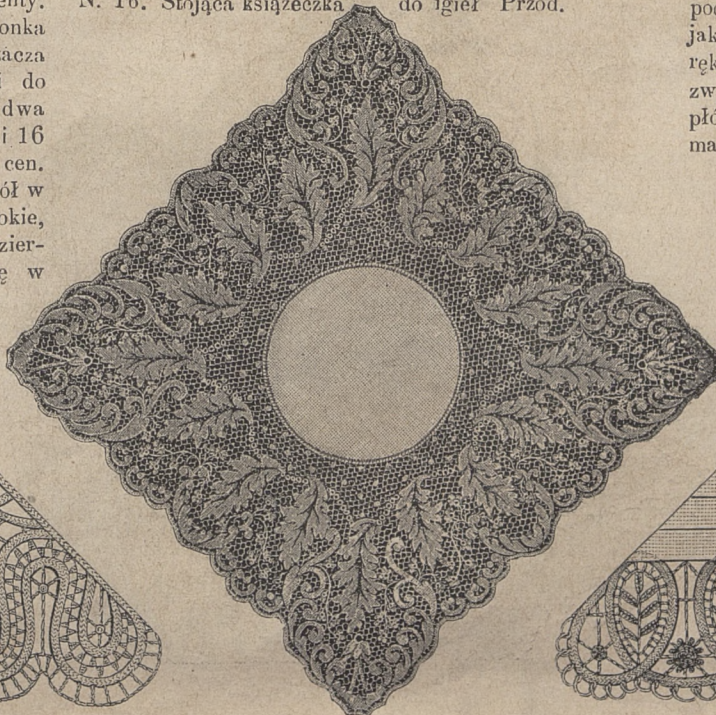


N. 19. Narożnik do kołnierzyka. Robota koronkowa z płaskiej tasiemeczki do ryc. 18

N. 14. Narożnik do chusteczki od nosa. Aplikacja muszlinu na tiulu. Zobacz ryc. 15.



N. 16. Stojąca książeczka do igieł. Przód.



N. 15. Chusteczka do nosa. Aplikacja z muszlinu na tiulu w zmniejszeniu. Zobacz ryc. N. 14

około zielonym jedwabiem podług N. 17, podającego lewą stronę książeczki. Następnie składa się kartki przez połowę i przyszywa razem z tekturą podstawą o pół cen. dłuższą do wstążki zielonej, tak iż flanelka do igieł wszyta jest między dwie części tekturowe. Zwierzchnia oprawa książeczki ozdobiona jest wieńcem z zielonych liści,

odrobionych atłasem, zielonymi jedwabiami i jagód czarnych z perełek, otoczonych złotym bajorkiem; tło jest z sukna białego. W pośrodku wieńca wszyć można lub odrobić na suknie małe bukietki albo cyfry.

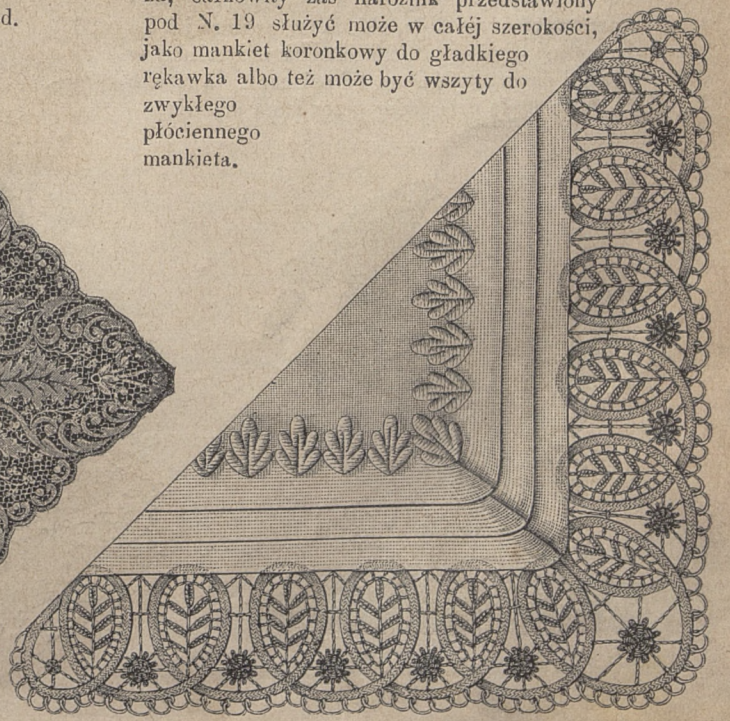


N. 18 i 19. Wykładany kołnierzyk odrobiony z płaskiej plecioneczki, łączącej ściegiem koronkowym.

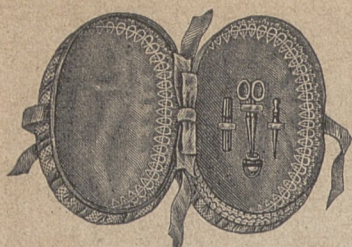
Już niejednokrotnie podawaliśmy czytelnikom naszym wzory do roboty koronek, z rozmaitych plecioneczek, teraz podajemy pod N. 18 i 19 kołnierzyk, którego robota odznacza się pięknym efektem. Koronka przyszywa się do gładkiego paska, szlak brzeżny narożnika, stanowi z tyłu środek kołnierzyka, całkowity zaś narożnik przedstawiony pod N. 19 służyć może w całej szerokości, jako mankiet koronkowy do gładkiego rękawka albo też może być wszyty do zwykłego płóciennego mankieta.



N. 20. Kołnierzyk z muszlinowych plisek, koronki i aplikacji.



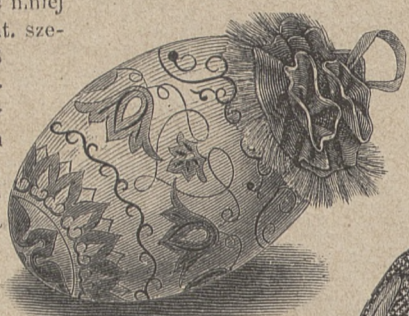
N. 22. Narożnik do kołnierzyka z plisek, koronki i aplikacji



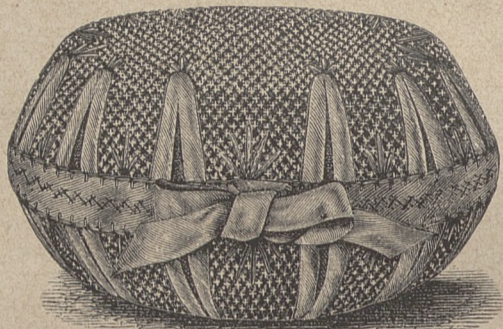
N. 20—22. Kołnierzyk i mankiet odpowiedni. Plisy muslinowe, aplikacja i brzeżek koronkowy. Podług wzoru N. 22 w naturalnej wielkości można nadać formę kołnierzykowi. Narożnik pod N. 22 potrzeba tylko podług formy przedłużyć, aby mieć ładny kołnierzyk z podłużnym wykresem. Kołnierzyk taki potrzebuje mieć więcej 50 cent. długości, 5 cent. szerokości w końcu przednim, a 3 cent. w środku. Najlepiej odpowiadający rękawek, podany jest pod N. 21, wolant przy nim ma 44 cent. szerokości u dołu, a 25 cent. u góry. Okrągławo ścięty środek liczy 12 cent. a brzeg 7 cent. długości.

N. 30. Neseserka w kształcie jajka. Otwarta. Patrz N. 29.

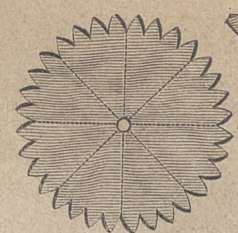
N. 23 — 26. Koszyczek na



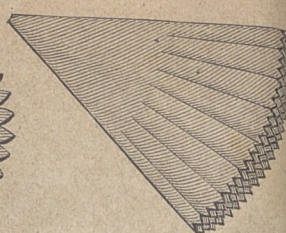
N. 23. Stojący koszyczek do jaj. Patrz boule de neige N. 24 — 26.



N. 29. Neseserka w kształcie jajka zamknięta. Patrz N. 30, 32 i 33 w T. Mód N. 16.



N. 25. Mała gwiazdka i kielich do boule de neige ryc. 24.



N. 26. Część kwiatka. Kółko złożone w ośmiornio do ryc. 24.

ny drucik, owinięty zieloną lub białą orzechową bibułą. Dla odjęcia bibuły sztywności i ufyzowania listków, nacinane okręgi ściiera się lekko o dłoń ręki, poczem do 12 większych, a 2 — 3 mniejszych kółek tworzących listki, zakłada się pojedynczo mocno na drucik i przykleja. Wszystkie te kółka przedzielane są mniejszemi, zaledwie około 3 cent. średnicy mającemi, z białą zielonawą bibułą angielskiej, przykrojone podług wzoru N. 25 i tylko w ząbki w górze wyciętemi, które nadają kwiatom potrzebną wypukłość kolistą i stanowią



N. 28. Jajko gotowane z malowanym szlaczkiem.

ciem naturalny. Z takiejże zielonej bibuły nakleja się jako kielich małe kółko pod spodem kwiatu. Zielone liście można wyciąć z papieru i narysować żyłki podług wzoru N. 24, albo też kupić w fabryce kwiatów na tuziny.



N. 32. Bombonierka w kształcie jajka.

Wcale nie poetyczny ale pomocny przy cerowaniu sprzącików, stanowi jajko porcelanowe białe lub malowane jak to rycina wskazuje.

N. 27. Jajko malowane porcelanowe do cerowania pończoch.

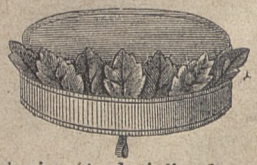
N. 28. Jajko gotowane z ryśunkiem seczorykiem rytym.

Na twardo ugotowaniem i pięknie ufarbowaniem jajku, rysuje się ostrym śpiczastym seczorykiem, piękne kwiaty, godła lub małe pejzaże, które na tle ciemnym bardzo ładnie wyglądają.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 18 Tygodnika Mód.

K O R E S P O N D E N C J A

Pani Julii F. Z przysłanego rubla na książki pozostało kop. 10.



N. 35. Ułożenie róży do jajka do ryc. 34.



N. 34. Jajko w róży. Patrz N. 35.



N. 31. Doniczka do kwiatków w kształcie jajka.

nien z drutu lub ze sztywnego agremanu, sam zaś koszyczek płaski okrągły zrobiony z drutu lub z sitowia, i kupiony gotowy a następnie ulakierowany. Stopiwszy na patelni 4 części białego wosku z jedną częścią taniego laku, otrzymamy lakier koralowy, którym kilka razy polać potrzeba zarówno koszyczek jak i postument, przytrzymując nad patelnią, aby zbyteczne krople równo ściekały. Zamiast koralowego można także postument zrobić z krystalizacji aluwanowych, których wykonanie powszechnie jest wiadome. Dołączone pod N. 24 kwiaty z zielonemi matowemi liśćmi, bardzo ładnie odbijają przy koralowym postumencie. Małe nie rozkwitłe kwiaty robią się z bibuły białej lub żółtozielonawej; duże rozwinięte z białej. Z kwadratów bibuły 8 i 9-cio cent. wycina się koła, składa w ośmiornio jak na goździki, wycina podług N. 26 ostremi nożyczkami w drobne ząbki i nacina wzdłuż na 1 i pół cent. Na środku koła wycina się małą dziurkę przez którą przewleczo-

Farbowane wielkanocne jajka ułożone w powyższym koszyczku między kwiatami bardzo ładnie stoł przystrajają. Jajka prawdziwe zastąpić także można odrobionemi z czekolady lub cukru. Postument koszyczka naśladowujący wyrób koralowy, zrobiony być powi-



N. 24. Kwiat z bibuły jedwabnej boule de neige do ryc. 23. Zobacz ryc. 25 i 26.



N. 36. Stanik pod szyję z przybraniem makszałt kamizelki z karoczekiem.



N. 33. Jajko w gniazdku ptasim. Kwiaty z bibuły lub z włóczki.